NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 20 maja 1916. Nr. 21.

Na polach Racławic.



Ogólny widok pola Racławickiego podczas obchodu, z pamiątkowym krzyżem na górze.

Treść numeru: Hołd zasłudze. — Pożegnanie komendanta twierdzy krakowskiej. — Z podróży namiestnika Dillera. — Wystawa obrazów Antoniego Piotrowskiego. — Z pobytu arcyksięcia Franciszka Salwatora w Galicyi i t. d.

Na polach Racławic.

Żyje trwale w pamięci narodu polskiego świetlany przebłysk jego dziejów — zwycięstwo Racławickie. Ale dopiero w krwawym roku 1916 ta pamięć mogła skrystalizować się we wspaniałym obchodzie na oswobodzonem od najazdu rosyjskiego polu bitewnem Racławic, gdzie spoczywają kości bohaterów 1794 roku. Obchód odbył się w dniu św. Stanisława przy udziale niezliczonych tłumów. Cała Miechowska ziemia wyruszyła na tę uroczystość, której przebieg „Dziennik Narodowy" tak opisuje:

O godzinie szóstej rano wyruszył z Miechowa wspaniały pochód, kierując się na pola racławickie. Przy sztandarze narodowym z Orłem Białym i herbem Miechowa oraz napisem: „Jednością silni", skupiają się miechowscy uczestnicy obchodu, idący do Racławic pieszo.

Na czele przed sztandarem idzie miechowska straż pożarna wraz z gośćmi — strażami z Żarnowca, Olkusza i Bolesławia. Za nią Liga kobiet miechowska niesie wieniec, uwity z zieleni zbóż i kwiecia łąk. Dalej delegacye mieszczaństwa niosą feretron z podobizną Naczelnika i otaczają wymieniony wyżej sztandar.

Legiony reprezentowane są przez kapitana dra M. Wyrostka, wojskowego zastępcę szefa D. W. N. K. N. z Piotrkowa, który z chorążym Legionów P. Głuchowskim i dwoma innymi pracownikami D. W. stawił się na miejscu. Razem z nimi przybył kapelan, Ojciec Kosma Lenczowski i kilku oficerów.



Hołd zasłudze: Henryk Sienkiewicz.

Pochód zamyka grupa skautów i skautek z Zagłębia Dąbrowskiego. Na końcu pochodu ciągnie, jak tabor obozowy, nieprzejrzany sznur bryczek i pojazdów.

We wsi Racławicach pochód się zatrzymał; tu bowiem nastąpiło ugrupowanie banderyi włościańskich, Krakusów, delegacyi ze sztandarami i tłumów włościan okolicznych. Około godziny dziesiątej pochód ugrupowany i skompletowany, wyruszył na pola bitewne do wioski Janowiczki pod Racławicami, własności p. W. Łąckiego, wiceprezesa Komitetu obchodowego.

Za folwarkiem piękny widok na wyniosłe wzgórze, kopcem Racławickim nazwane, gdzie hen ku niebiosom z pośród lip strzela prosty, wyniosły krzyż dębowy, ku czci poległych wzniesiony właśnie. Całe wzgórze, dominujące nad okolicą, umajone barwami wieśniaczych strojów, falujące morzem głów. W niewielkiem oddaleniu widnieją stoki wzgórz, po których z pozycyi naszych z za góry, od wsi Dzieraznia, gdzie stał Kościuszko, rwały Krakusy do ataku na armaty moskiewskie. Na lewo miła panorama wzgórz okolicznych, lekko falujących. Wzrok zatrzymuje się z przyjemnością na sylwecie kościółka Wrocimowickiego, wzniesionego przez Bożogrobców w miejscu, gdzie stało dworzyszcze Marcina z Wrocimowic, co



Na polach Racławic: Msza polowa.

to z Jagiełłą pod Grunwaldem się potykał. W tej stronie, tuż u kopca Racławickiego, u stóp krzyża pamiątkowego stoi na lekkiem wzniesieniu, dużą zamykającem łąkę, ołtarz polowy, strojny w zieleń i orły, oraz barwy narodowe. Z oddali, z za wzgórza słychać dźwięki muzyk. Daleko po dolinie płynie pieśń wiary i siły: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Idzie pochód, uformowany w Racławicach przed kościołem. Kopiec Racławicki zalewa fala ludzka. Płyną delegacye, suną tłumy ludu przy dźwiękach muzyk: chłopskiej z Prandocina i strażackiej z Proszowic. Dołem dróżką sunie w podskokach banderya Kra



Na polach Racławic: Delegatki Ligi kobiet i dziewczęta wiejskie z wieńcami.



Pożegnanie komendanta twierdzy krakowskiej:
J. E. zbrojmistrz Karol Kuk.

kusów. Furkoczą w powietrzu wstążki i pawie pióra, lśnią się barwne kierezye. Na czele jedzie Beliniak, jak zjawa dawnych lat. Wskrzeszony rycerz przeszłości wiedzie w bój lud, tę siłę ziemi ojczystej. Banderya liczy 71 koni. Na czele ułan trzeciego szwadronu pierwszego pułku ułanów — Zygmunt Rogala Koczorowski.

Olbrzymia fala ludu, licząca 10.000 osób, zalała całkowicie łąkę przed ołtarzem polowym. Kordon tworzyły banderye i straż pożarna. Przed ołtarzem ustawiona trybuna, a mistrz ceremonii, komendant straży pożarnej miechowskiej, p. Feliks Górski, uszykował zebranych.

Przy dostojnym gościu z Krakowa, delegacie N. K. N., księciu Andrzeju Lubomirskim, ustawił się Komitet obchodu, złożony z 60 ciu osób.

Przy ołtarzu stanęły chóry wiejskie z gmin okolicznych, oraz Ligi kobiet. Tuż stanęła delegacya Legionów. Kordon tworzyły straże pożarne okoliczne. Nauczyciel z Racławic, p. Bielecki, przyprowadził dziatwę szkolną obojga płci w liczbie 150 głów, strojną w narodowe barwy i chorągiewki. Z boku w karnym ordynku ustawiły się drużyny skautowe. Wreszcie rozmieściły się delegacye okolicznych miast i wsi ze sztandarami i wieńcami.

Przemawiali w imieniu Komitetu dr. Nawroczyński z Miechowa i kapelan Legionów O. Kosma Lenczowski.

Poświęcenia sztandarów w liczbie szesnastu dokonał ksiądz kapelan u ołtarza polowego. — Przy mszy świętej, odprawionej przez księdza Lenczowskiego, służyło dwu Legionistów.

Po mszy rozpoczęły się przemówienia delegatów. W imieniu N. K. N. mówił Andrzej ks. Lubomirski, w imieniu Legionów i Departamentu Wojskowego wygłosił jędrną i silną przemowę kap. dr. M. Wyrostek.

Dalej przemawiał redaktor „Gazety Polskiej“ dr. M. Janik, w imienin ludu włościanin Mateusz Manterys, ostatni przemówił podporucznik Legionów Ulrych. Następnie udano się ze śpiewem „Serdeczna Matko!“ pod krzyż pamiątkowy, wzniesiony na cześć poległych, który poświęcił ks. Lenczowski.

Obchód racławicki w całym swoim przebiegu wypadł wspaniale i pozostawił uczestnikom niezatarte wrażenie, którego urok potęgował widok uświadomionych w duchu narodowym mas ludowych. Wśród zebranych czuć było nastrój podniosły, serca uderzały żywiej, z pól, zroszonych krwią bohaterów, biły wspomnienia dziwne a czarowne, wiała ku tłumowi nadzieja świetlanego jutra.



Na polach Racławic: Uczestnicy uroczystości podczas przemówienia delegatów.



Na polach Racławic: Tłumy podczas przedstawienia „Kościuszki pod Racławicami".

Hołd zasłudze.

W radosną chwilę siedmdziesiątej rocznicy urodzin Sienkiewicza cała Polska złożyła hołd wielkiemu pisarzowi i obywatelowi. Dziś, gdy naród polski przeżywa największy kataklizm dziejowy — ten hołd stał się potrzebą serca wszystkich Polaków. Byłoby zapalaniem świec przy jasnych promieniach słońca rozpisywać się o wartości literackiej dzieł autora Trylogii. Bo te dzieła — to więcej, niż literatura. „Trylogia — trafnie zaznacza p. Adam Grzymała-Siedlecki w „Kuryerze Warszawskim" — stała się nietylko książką, ale i faktem historycznym w Polsce". W okresie przygnębienia popowstaniowego, gdy trzeźwy rozum pragnął zakuć duszę narodu jeno w ramach realnego pozytywizmu, Sienkiewicz rzucił w masy swą porywającą, odzianą w purpurę — wizyę przeszłości...

I o tem niepodobna zapomnieć właśnie dziś...

W obecnych przełomowych czasach, Sienkiewicz z całą młodzieńczą energią zabrał się do pracy obywatelskiej, stał się głosicielem wobec całego świata cywilizowanego — krzywd i praw narodu polskiego. Tę rolę Sienkiewicza w obecnej chwili najlepiej może scharakteryzował p. Grzymała Siedlecki.

Wiemy dobrze — pisze — jak wszechświatową jest chwała Sienkiewicza, wiemy, że ten wyraz polski: Sienkiewicz, powtarza się we wszystkich językach cywilizowanych, wiemy, że twórczość postawiła Sienkiewicza na postumencie, z którego widać go na obie globu półkule. Dla nas jeszcze ważniejszem jest jednak to, że autor „Quo vadis" nigdy tej wszechświatowej swojej wagi nie uważał za swój osobisty dorobek, zawsze patrzył na nią i patrzy, jako na własność całego narodu polskiego. Jeśli kiedy wyzyskiwał to swoje wzniesienie i rezonans, to tylko wtedy, gdy trzeba było Polskę wziąć w obronę, w jej imieniu przemówić. I dzień dzisiejszy zastaje go w takiej samej służbie narodowej. W Szwajcaryi, niestrudzony, daleki od żądzy zasłużonego spoczynku, założył centralę, do której spływa pomoc dla nas podwójnie pokrzywdzonych: przez wojnę obecną i historyę. Sercem wrosły w serce każdego Polaka, duchem zawsze z nami, tam na obczyźnie utrudza się, aby przyszłość Polski miała z czego wyrosnąć.

Pożegnanie komendanta twierdzy krakowskiej.

Kraków żegnał w tych dniach ustępującego komendanta twierdzy krakowskiej, J. E. gen. Kuka, który został powołany na odpowiedzialne stanowisko generał-gubernatora w Królestwie Polskiem. — Jako komendant twierdzy krakowskiej w najcięższych dla miasta czasach, J. E. gen. Kuk zapisał się chlubnie zarówno w dziejach wojny, jak i w pamięci ludności miasta, którą zawsze, w najkrytyczniejszych nawet momentach, otaczał zawsze troskliwą opieką. To też Kraków żegnał go z żalem, a wyraz tych uczuć dało prezydyum miasta Krakowa, które gremialnie, z prezydentem drem Leo na czele, udało się do mieszkania b. komendanta twierdzy krakowskiej, aby pożegnać go imieniem ludności całego miasta. Prezydent dr. Leo w gorących słowach podniósł zasługi J. E. Kuka jako komendanta twierdzy, który talentem swym i osobistą dzielnością ochronił Kraków przed nieprzyjacielską inwazyą. W odpowiedzi J. E. Kuk podziękował za słowa pożegnania i zapewnił, że pozostaną mu w miłej pamięci osobiste stosunki, jakie go łączyły z prezydyum miasta.

J. E. gen. Kuk objął już urzędowanie na nowem stanowisku generał gubernatora w Królestwie Polskiem, gdzie niewątpliwie okaże takie same zrozumienie potrzeb ciężko dotkniętej wojną ludności. Zaznaczył to wyraźnie w swej odezwie, wydanej do mieszkańców kraju, że pójdzie śladami swego poprzednika, obecnego namiestnika Galicyi, J. E. bar. Dillera, który wytknął sobie za główny cel gojenie ran, jakie zadała Królestwu Polskiemu wojna. Dotychczasowa działalność J. E. gen. Kuka w Krakowie jest gwarancyą, że Królestwo Polskie znajdzie w nowym generał gubernatorze sprawiedliwego i życzliwego opiekuna.



Z życia krakowskiego: Amatorzy palenia w oczekiwaniu na swą kolej przed główną trafiką W. Bajańskiego w Rynku.

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

6

— Pani idzie już? — zapytał.

— Tak, już późno.

— Odprowadzę panią, idę w tę samą stronę.

— Jakto? — zdziwił się zupełnie szczerze Gliniewicz. — Pan przecież mieszka na Letniej, a panna Józia na Vinohradach?! To dwa przeciwległe krańce miasta.

— Idę na Vinohrady i odprowadzę pannę Józię! — oświadczył Żarnecki tonem spokojnym, ale tak bezwzględnie despotycznym i nakazującym, że Gliniewicz zapomniał języka, a Józia zbladła, przestraszona trochę.

— Idziemy, panno Józiu!

Dziewczyna wahająco spoglądała to na Żarnickiego, to na Gliniewicza, ale Żarnicki hypnotyzował ją spojrzeniem, narzucał jej swoją wolę.

— Pan pomoże jeszcze pannie Staszyńskiej? Dobrze? — zaczęła nieśmiało do Gliniewicza. — Jeżeli pan Żarnicki idzie w tę samą stronę, co ja... Może pan innym razem...

— Panno Józiu, idziemy! — powtórzył Żarnicki z taką siłą intonacyi, że panienka urwała w pół zdania i posłusznie skierowała się ku drzwiom.

Gliniewicz pozostał z otwartemi ze zdumienia ustami i wytrzeszczonemi oczyma.

Nie rozumiał zupełnie, co to było.

Wicherek i jego kolega Śliwowski obserwowali z zajęciem tę scenę.

— Uważałeś — zwrócił się Wicherek do kolegi — istne porwanie, wprawdzie nie Sabinki, ale Józi... Teraz rozumiem, czem ten Żarnicki bierze kobiety... Terroryzuje je po prostu.

— Różne bywają kobiety, nie każda da się sterroryzować... Żarnicki szuka łatwych zdobyczy.

— Popatrzno na tego Gliniewicza! Tableau! Stoi chłopak, jak żona Lotowa w słup soli zamieniona.

Punktualnie z uderzeniem godziny szóstej weszła do sali Anielka Żurakowska.

— No, no, aż się jaśniej w sali zrobiło — rzekł Wicherek — wiesz, Józek, ta panna Żurakowska, to piękność skończona!

— A tę, to uznaję — odparł Śliwowski — to jest coś więcej, niż gładka buzia i zgrabna figurka, to jest człowiek.

— Dyablo ponętny człowiek!

— Nie rób, Wicher, słodkich, jak miód, oczu, bo to będą „stracone zachody miłości". U tej, to nawet Żarnicki ze wszystkiemi swojemi metodami demonicznemi spojrzeniami zrobiłby „fiasco".

— Może zato „nasz piękny" Montwiłł będzie miał więcej szczęścia. Popatrz, jak mu się oczy jarzą!

— A to, szczęść Boże! Byłaby piękna i dobrana para! Montwiłł chłop wysoce sympatyczny i bardzo rozumny... To jeden z najsympatyczniejszych ludzi, jakich poznałem w Pradze.

Montwiłł na widok Anielki zerwał się od stolika i podbiegł, aby jej dopomódz przy zdejmowaniu żakietu. Z właściwą swojej gorącej naturze żywiołowością zapomniał o zachowaniu pozorów.

Anielka podziękowała mu uprzejmie, ale bardzo spokojnie i pospieszyła przywitać się ze Staszyńskiemi.

Uderzyło ją niemile dziwne zachowanie się obu sióstr. Hanka przywitała ją chłodno z widocznem zakłopotaniem, a Stasia podała jej zaledwie końce palców.

— Co się im stało? — myślała zaniepokojona Anielka. — Czy gniewają się na mnie? Ale o co? Może obraziłam je czem mimowolnie.

Nie umiała sobie tego wytłomaczyć.

Do „kuchni" napływali falą nowi goście.

Smakowity zapach przysmażanej słoniny, którą były okraszone pierogi, rozszedł się po sali.

Z hałasem, z gwarem chłopięcych głosów i głośnym tupotem nóg wtargnęła teraz do sali spora gromadka ustawionych w pary chłopców, z młodszych klas gimnazyalnych.

— Cicho chłopcy, cicho, nie robić hałasu! — uspakajał prowadzący tę czeredę nauczyciel.

Dziecko, które trzymała na kolanach młoda kobieta, wyciągnęło paluszek i wskazując na chłopców, wołało radośnie.

— O! Wojsko idzie! Mamo, wojsko idzie!

Chłopcy hałaśliwie odsuwali krzesła i wołali jeden przez drugiego:

— Oj! jaki ja głodny!

— Tak mi się jeść chce!

— A co to jest na kolacyę?

— Co to tak ślicznie pachnie? — mówił jeden z chłopców, pociągając nosem.

— To pierogi, pierogi!

Anielka rzuciła okiem na przepełnioną salę.

— Mój Boże — rzekła zakłopotana — tyle osób, a ta panna Zerwanówna się spóźnia! Co ja pocznę sama jedna, a tu chłopcy przyszli jak zawsze z wilczym apetytem...

— Damy sobie radę, proszę pani — zapewniał Montwiłł, rozjaśnionym wzrokiem obejmując smukłą postać Anielki — damy sobie radę... Obejdziemy się bez panny Zerwanówny... Będę pani pomagał i roznosił talerze.

— Nie wątpię, że państwo dacie sobie radę doskonale we dwoje — wycedziła przez zęby Stasia, kładąc szczególny nacisk na słowa we dwoje — przy tak chętnym pomocniku wszelka inna wyręka jest zbyteczną... Zatem żegnam i życzę państwu przyjemnej zabawy. Dobranoc.

Anielka zadrżała pod nienawistnym spojrzeniem pociemniałych dziwnie w tej chwili oczu Stasi i... zrozumiała.

Stała zmieszana i wzburzona — krew uderzyła jej do głowy purpurową falą.

Nie wiedziała, w jaki sposób ma zareagować na słowa Stasi.

Hanka dyskretnie pociągnęła siostrę za rękaw.

Niemiłą tę scenę zakończyło pojawienie się oczekiwanej panny Zerwanówny.

* * *

— Panno Anielo — mówił Montwiłł przyciszonym głosem — czemu pani zawsze tak smutna, dlaczego uśmiecha się pani tak rzadko? Wiem, że pani odczuwa głęboko to nieszczęście, które się rozszalało po świecie... Wiem, że pani boleje nad naszą dolą, nad najsmutniejszą dolą polską... Ale nie dobrze jest przesadzać... Smutek, to jak rdza dla duszy młodej, przetrawia, przegryza, niszczy... Młodość i życie mają swoje prawa... Trzeba przetrwać i zachować siłę i pogodę duszy na lepszą przyszłość, w którą wierzyć chciejmy...

Anielka długą chwilę milczała. Zapatrzona przed siebie w wartki ruch uliczny pogodnego zimowego wieczoru, szukała słów odpowiedzi.

Wreszcie podniosła na młodzieńca swoje spokojne niebieskie oczy i zaczęła:

— Panie Stanisławie, znam pana wprawdzie nie wiele, ale mimo krótkiej znajomości nabrałam niezłomnego przekonania, że z pana człowiek szlachetny i uczciwy... Przytem, nie mylę się chyba, przeczuwając w panu przyjaciela... Wszak prawda?

— Panno Anielo!...

Gorący namiętny ton, jakim były wypowiedziane te dwa słowa, był dostateczną odpowiedzią... Mówił nawet za wiele... To też Anielka pospiesznie, jakby chcąc uprzedzić wyznanie, które zawisło w powietrzu, ciągnęła dalej:

— Nie chcę, żeby mnie pan sądził fałszywie, żeby mnie pan przeceniał... Ten smutek, który pan zaobserwował u mnie, nie jest wynikiem li tylko cierpień ogólnych. Źródło jego jest bardziej egoistyczne, osobiste... Ja mam narzeczonego, panie Stanisławie...

Urwała... Nagły przypływ wzruszenia zatamował jej głos... Bała się, że się rozpłacze...

Gdyby spojrzała w tej chwili uważnie w twarz swemu towarzyszowi, zobaczyłaby, jak silnie pobladł.

Ale Anielka nie o Mantwille myślała w tej chwili.

— Mam narzeczonego... On jest tam na wojnie, w polu narażony na tysiące niebezpieczeństw. Śmierć i nieszczęście czyhają na niego na każdym kroku... Od początku wojny straciłam jego ślad, nie wiem co się z nim dzieje, nie wiem, czy on jeszcze...

Urwała znowu... Nie miała siły, nie miała odwagi dokończyć.

— A co gorsza, że ja ukrywać się muszę z moim niepokojem, z mojemi obawami... Nie mogę się swobodnie i jawnie dowiadywać o niego, bo ciotka, jedyna opiekunka moja, nie chce uznać moich zaręczyn. Dlatego chodzą ciągle dławiona śmiertelnym niepokojem, najgorszemi przypuszczeniami... Niech się więc pan nie dziwi, żem zawsze smutna...

Szczerze i jasno opowiedziała Montwiłłowi historyę swojej miłości... Mówiła więcej sama dla siebie, jak dla niego, zapominając o celu, dla którego zaczęła tę rozmowę... Zasłuchała się w swoje najdroższe wspomnienia... Sprawiało jej to ulgę, że może raz wypowiedzieć się szczerze...

Montwiłł słuchał w milczeniu z pochyloną nieco głową, nie przerywając ani jednem słowem...

Własne jego uczucie i przemocą tłumiona namiętność walczyły w nim z współczuciem dla miłości Anielki i szacunkiem dla jej cierpienia...

Wiedział, że gdyby w tej chwili jednem słowem, jednem spojrzeniem zdradził się z tem, co działo się w jego duszy, to nieodwołalnie zerwałaby się ta nić przyjaźni, która się snuła między nim a Anielką...

A on mimo tego, czego się dowiedział, nie chciał stracić możności widywania jej i rozmowy z nią...

Wskazała mu sama drogę, powiedziała, że uważa go za przyjaciela...

Dobrze więc, będzie jej przyjacielem, prawdziwym przyjacielem, pomocnym w tem, co ją najbardziej dotyka...

Nie może teraz niewczesnem wyznaniem rozwiać jej sympatyi i zaufania, które mu okazała...

A w przyszłości! Któż przyszłość przewidzieć może?...

— Jak się nazywa pani narzeczony? — zapytał wreszcie Montwiłł.

— Kazimierz Walczak.

— Walczak?... Znam to nazwisko... Słyszałem je nieraz z ust Henryka Staszyńskiego... Czy daje pani ogłoszenia do dzienników?

— Nie mogę. Jakiż podałabym adres? Ciotka jest pod tym względem nieubłagana...

— Panno Anielo, czy pozwoli pani dopomódz sobie?... Podam do wszystkich krakowskich i wiedeńskich dzienników ogłoszenie, aby ci wszyscy, którzy mogą dostarczyć wiadomości o panu Walczaku, udzielili ich pod moim adresem...

— Ach! Jaki pan dobry!

Oczy Anielki zapłonęły radością. Z wyrazem głębokiej wdzięczności spojrzała na Montwiłła i spostrzegła jego niezwykłą bladość.

— Co panu jest? Czy pan słaby? Taki pan blady!

— Zdaje się pani... To światło latarni rzuca taki dziwny blask... Zresztą mniejsza o to. Więc zgadza się pani na mój projekt.

— Ależ! naturalnie, jakże może pan pytać?

— Jesteśmy zatem spiskowcami przeciwko szanownej cioci — uśmiechnął się Montwiłł z przymusem.

— Jeżeli przy pomocy pańskiej zdołam odnaleźć Kazimierza, jakże my panu oboje będziemy wdzięczni — mówiła Anielka z tem bezwiednem okrucieństwem kobiety zakochanej w kim innym...

Kiedy zbliżali się do domu, Anielka zapraszała Montwiłła na wieczorną herbatę.

— Ciocia się ucieszy — mówiła z uśmiechem — Ona bardzo lubi pańskie towarzystwo.

Młodzieniec, który zwykle skwapliwie korzystał z każdego takiego zaproszenia, tym razem wymówił się brakiem czasu.

Chciał zostać sam, zebrać myśli, porachować się z własnemi uczuciami.

Anielka dawno zniknęła już w bramie, a Montwiłł zatrzymał się jeszcze chwilę przed kamienicą, uporczywie spoglądając w kierunku, w którym odeszła.

— Zaręczona! — szepnął jakby zdławionym głosem i powolnym krokiem począł oddalać się.

ROZDZIAŁ VII.

— Jasiek spisz?

Zapytany uniósł głowę i usiadł na swojem legowisku ze słomy.

— Nie, dziwna rzecz, jakoś mi się spać nie chce. A ty Kazek, także zasnąć nie możesz?

— Nie mogę... Wiesz, jeżeli i tobie spać się nie chce, to możemy porozmawiać...

— Ano to mówmy, jeżeli masz co ciekawego do powiedzenia... Właściwie należałoby wyspać się porządnie, bo ze świtem czeka nas gorąca robota, ale skoro Morfeusz nie łaskaw na nas... Papierosa masz?...

— Mam!

— To dawaj!

Zapalili papierosy, a po chwili oficer nazwany przez kolegę Kazkiem, zaczął:

— Słuchaj Jasiek, wierzysz ty w przeczucia?!

— W przeczucia?! Przyznam ci się, że nigdy nie zastanowiałem się nad tem. Wiesz, żem człowiek realnie i trzeźwo myślący i ciebie zawsze za takiego uważałem. Ze zdziwieniem słucham, że Kazimierz Walczak, ścisły matematyk, pyta mnie, czy ja wierzę w przeczucia?! Skąd ci, u dyabła, przyszło do głowy takie pytanie?

Kazimierz nie odpowiadał chwilę, poczem z pewnem wahaniem w głosie zaczął:

— Wiesz, może to śmieszne, ale mnie się zdaje, że ja jutro nie wyjdę cało z tego szturmu... Nie pierwszyzna mi przecież, a nigdy nie miałem takiego głupiego uczucia... Ciągle mi szumi w głowie nuta tej piosenki, którą śpiewają niemieccy żołnierze:

„O! Morgenrot! Morgenrot
du leuchtest mir zum frühen Tod"...

— Dajże spokój!... Naturalnie, że przed szturmem, jeżeli człowiek w dodatku zasnąć nie może,

to różne głupie myśli przychodzą do głowy... Mnie samemu, choć, jak wiesz, nie jestem wcale skłonny do sentymentalizmu, snuje się, dyabli wiedzą co, po głowie...

— Nie przeczę, że to może być urojenie, wywołane zdenerwowaniem przed bitwą, ale ostatecznie zginąć mogę...

— Rzecz prosta, każdy żołnierz, który idzie do bitwy, zginąć może, ale lepiej nie myśleć o tem.. To rozdrażnia niepotrzebnie...

— Może masz racyę, ale widzisz, jabym chciał na wszelki wypadek dać ci pewne zlecenie... Jeżeli zginę, weźmiesz odemnie kilka drobiazgów i odeślesz je lub wręczysz mojej narzeczonej, skoro ją odnajdziesz, bo gdzie ona się teraz znajduje, tego sam nie wiem...

Jasiek aż podskoczył na swojem posłaniu!

— Co? Ty masz narzeczoną?! I kryłeś się z tem dotychczas przedemną? No, wiesz, Kazek, tego nie spodziewałbym się nigdy po tobie!...

— Widzisz, to właściwie nie jest oficyalna narzeczona... Zaręczyliśmy się potajemnie, bo jej rodzina nie chce nawet słyszeć o naszych wzajemnych uczuciach...

Aha! zatem tajemniczo romantyczna historya miłości z przeszkodami!... Ciekawym tylko, co to za głupia rodzina, która takiego chłopa, jak ty, nie chce przyjąć za swego członka... No, widzę, że masz ochotę do gadania, więc opowiadaj, jak to było...

Zapanowało milczenie... Kazimierz dumał, zbierał wspomnienia, wreszcie zaczął:

— Wiesz o tem, Jasiek, że ja nie zwracałem nigdy zbyt wiele uwagi na kobiety...

— Ależ wiem o tem... W gimnazyum należałeś nawet do jakiegoś stowarzyszenia „Brzasku" czy „Przedświtu", czy jak się tam to nazywało, gdzie ślubowano wszelkiego rodzaju możliwe cnoty... Przyznam ci się, że nawet uważałem cię z tego względu za skończonego idyotę, dopóki nie poznałem cię bliżej... Pamiętam, jakby to było dzisiaj, naszą pierwszą rozmowę, która była podwaliną przyjaźni... Stary Mięczała zostawił nas obu na dwie godziny „w kozie". Pamiętasz, Kazek? Ale przepraszam, że ci przerwałem, mów dalej.

— Wcześnie ogarnęła mną ambicya — ciągnął Kazimierz — aby poprowadzić dalej, rozwinąć, udoskonalić dzieło mojego ojca, aby skromną jego pracownię ślusarską zamienić na zakład przemysłowy w wielkim stylu... Słyszałem zewsząd narzekania na niedomagania przemysłu u nas, na brak inicyatywy w tej dziedzinie i zapragnąłem być jednym z przodowników. Dlatego poświęciłem się studyom elektrotechnicznym.

— Twoje zamiary były istotnie zakrojone na wielką skalę i byłbyś je zrealizował niezawodnie, gdyby nie wojna, która przerwała pracę — wtrącił Jasiek. — Ten pomysł wyzyskania siły wodnej dla celów przemysłowych był kapitalny. No, ale nic straconego. Jak wrócisz, podejmiesz pracę na nowo.

— Jeżeli wrócę.. Nie o tem jednak chciałem mówić. Podczas moich studyów w Nancy poznałem kilka bardzo sympatycznych koleżanek, ale żadna nie wzbudziła we mnie żywszego uczucia. Zanadto byłem wówczas zajęty nauką i moimi planami na przyszłość. Kiedy powróciłem do kraju, próbowano mnie nieraz swatać, ale po pierwsze sam wyraz „swatanie" budził we mnie obrzydzenie, a po drugie żadna z poznanych panien nie podobała mi się... Pewnego razu...

— Aha! Zaczyna się, jak w bajce: „Pewnego razu zjawiła się „ona" i zdobyła serce niezwyciężonego dotąd rycerza..."

— Kpij, Jasiek, wiele chcesz, ale istotnie zdarzyło się coś w tym rodzaju, tylko w dość osobliwych warunkach... Zjechałem do Krakowa z odczytem, który miałem wygłosić w Towarzystwie technicznem. Publiczność na odczycie stanowili prawie wyłącznie mężczyźni-fachowcy. Kobiet nie przywykłem widywać wogóle na moich prelekcyach. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu zobaczyłem w pierwszym rzędzie młodą, wytwornie ubraną pannę...

— O! naiwny człowiecze! Azaliż nie wiesz, że panny, oczekując na męża, lubią uprawiać wszelkiego rodzaju sporty... Jednym z takich sportów może być słuchanie technicznego odczytu z akompaniamentem dyskretnego poziewania...

— Pomyślałem wówczas to samo, co ty teraz mówisz i dla ciekawości obserwowałem pilnie moją słuchaczkę podczas odczytu. Ale, Jaśku, ona nie ziewała. Widziałem, że słucha z zajęciem, a na jej wyrazistej twarzy malowało się natężenie myślowe... Niekiedy ściągała brwi z niezadowoleniem. Bywało to wówczas, kiedy użyłem jakiegoś trudniejszego zwrotu czy określenia, którego widocznie nie mogła zrozumieć...

— Mój, Kaziu, jako więcej doświadczony, zapewniam cię, że w pięknych oczach kobiecych czytamy częstokroć rzeczy, które istnieją jedynie w naszej wyobraźni...

— Być może, że tak bywa. Ja jednak tym razem nie omyliłem się. W kilka dni później zaproszono mnie do jednej ze znajomych pań. U niej spotkałem po raz drugi pannę, która mnie zaintrygowała na odczycie i dowiedziałem się, że to jest panna Aniela Żurakowska, kuzynka pani domu. Z przedziwną prostotą pierwsza zbliżyła się do mnie i zaczęła rozmowę o moim odczycie. Przyznała się, że bardzo wielu rzeczy nie zrozumiała, chociaż ogólny temat zainteresował ją bardzo. Nie będę cię nudził długiem opowiadaniem, powiem krótko.

— Domyślam się, co powiesz. Zakochałeś się na łeb i na szyję. Przypuszczam, że to rzeczywiście ładna panna?

— Czy ładna?... Nie potrafię ci na to odpowiedzieć... Nie wiem... Obiło mi się nieraz o uszy, że ją uważają za skończoną piękność, ale ja nie zastanawiałem się nad tem nigdy. Wiesz, mnie się zdaje wogóle, że mężczyzna kobiety, którą pokocha prawdziwie, nie taksuje wedle foremności kształtów czy białości płci. Powierzchowność działa oczywiście, ale jest także coś poza nią. Anielka ma oczy głębokie i otchłanne jakieś, w których...

— ...utopiłeś serce — dokończył Jasiek. — Już wiem.

— Tak, masz racyę, ale ja wiem jeszcze coś więcej. Znalazłem w niej nie koteczkę rozkoszną, nie synogarliczkę szczebiocącą, nie gęś gęgającą, nie drapieżną tygrysicę salonową, ale kochaną kobietę-człowieka, z którą można marzyć o lepszej przyszłości. Wychowana w surowem poszanowaniu przepisanych form, nie wahała się jednak okazywać mi jawnie i szczerze swojej sympatyi. Bez kłamstwa, bez zwykłych fochów panieńskich, bez cienia kokieteryi wyszła mi naprzeciw, niosąc w darze swoją czystą, wiośnianą miłość...

— Bardzo pięknie. Cóż więc przeszkodziło temu, że nie jesteś dotychczas szczęśliwym małżonkiem?

— Anielka jest sierotą... Wychowała ją i opiekuje się nią ciotka, bogata właścicielka ziemska, która ma swoje kastowe i rodzinne przesądy i uprzedzenia... Kiedy się dowiedziała o miłości siostrzenicy dla „ślusarza", bo tak mnie nazywa — kazała natychmiast Anielce wyjechać z Krakowa i z oburzeniem odtrąciła myśl o podobnym związku... Wbrew zakazowi ciotki Anielka korespondowała ze mną, aż do chwili wybuchu wojny... Dopiero wojna przerwała kontakt pomiędzy nami... Najazd rosyjski objął okolicę, w której mieszkała. Nie wiem, co się z nią dzieje, czy pozostała na miejscu, czy wyjechała... Nie mam żadnych wiadomości.

— Otóż mamy! Więc to rodzaj pięknej kasztelanki, która się zniża do człowieka „nizkiego" pochodzenia, plebejusza etc. Mój Kaziu, to może być bardzo zajmujące i poetyczne w powieści, ale w życiu bywa zwykle dyablo niepraktyczne! Po kiego licha człowiek taki, jak ty, zdolny i przedsiębiorczy, który może i sobie świetną wywalczyć przyszłość i społeczeństwu wielkie oddać usługi, ma się pchać do takiego muzeum mamutów, gdzie starannie przechowuje się zapleśniałe przesądy i dawno zwietrzałe tradycye...

— I nie pchałbym się tam napewno, gdyby nie... Anielka... Ale dla niej... Mogę ci zaręczyć, że ona niema w sobie nic z zapleśniałych przesądów... To uosobiona prostota i otwarta rozsądna główka...

— Hm! A nie przyszło ci też do głowy, że może czuła i troskliwa ciocia wyszukała już dla swojej pupilki męża w swojej „sferze" i ty powróciwszy, zastaniesz twoją wybraną jakąś np. panią Ćwiercikowską z Ćwiercikowic.

Kazimierz potrząsnął przecząco głową.

— Nie znasz Anielki. To kobieta z charakterem, której zaufać można. Przy ogromnej łagodności i słodyczy jest tam w niej niezłomna siła woli.

— Obyś się nie zawiódł!

— Nie zawiódłbym się z pewnością. To też chciałbym żyć, a jednak coś mi szepce...

— Znowu zaczynasz!

— Skoro zacząłem, to już skończę. Jeżeli moje przeczucia okażą się słuszne, to odszukasz Anielkę i oddasz jej ten list, fotografię i pierścionek. Przyrzekasz mi to?

— Odczepże się, waryacie!

— Jasiek, proszę cię! To mnie uspokoi!

— No, jeżeli cię to ma uspokoić, to niechże będzie — przyrzekam, choć kto tam wie, kto „pierwszy z brzega"! Oj, ta wojna! wojna! Zaczynamy chorować na nerwy... I mnie także napadają jakieś głupie myśli. Jeszczeby tego brakowało, żebym się rozstroił jak stary klawicymbał, na którym panna Klocia pięć godzin dziennie grywała gamy i etudy... Lepiej śpijmy — to daleko zdrowiej i rozsądniej...

Kazimierz nie odpowiedział nic.

Zapanowała cisza. Obaj przyjaciele leżeli cicho, pogrążeni każdy we własnych myślach.

Jan Krzycki przewracał się z boku na bok — nie mógł jakoś zasnąć, choć zwykle miewał sen zdrowy i mocny... Myślał, rozważał i wspominał.

W jego wyobraźni przesuwały się obrazy dawne, zapomniane — które teraz wyłaniały się z mgły przeszłości i wołały: „jesteśmy, czy pamiętasz?!"

A Krzycki miał o czem pamiętać — choć nie chciał wspominać. Życie wyrobiło w nim światopogląd nieco cyniczny — z sarkazmem i ironią odnosił się do wszystkiego, czemu nadawał miano sentymentalizmu i mazgajstwa. *Carpe diem*, to była jego zasada.

Miał niezwykłe szczęście do kobiet, które pociągał ku niemu jego bujny temperament i błyskotliwy dowcip.

Żył więc i używał, kochał i bywał kochany, szalał, a potem szedł dalej, zapominał.

Tak było wiele, wiele razy i zaczęło się bardzo wcześnie.

I nie wiedział Jan Krzycki, dlaczego od pewnego czasu jedno wspomnienie natrętnie, uporczywie powraca do niego...

Odpychał je, usiłował myśleć o czem innem, ale nie mógł przeszkodzić temu, że we śnie i na jawie nachodził go coraz częściej obraz dziewczyny o bronzowych, łzawych oczach trwożnej sarenki i długich zawsze rozwianych warkoczach.

Hanka, Hanka!

— Jak ona mnie kochała! — myślał Krzycki — Temperament miała gorący, jakiś południowy — a myśli czyste, jak kryształowe zwierciadło wody, nad którą się wychowała...

Kilka lat temu wstecz, kiedy Krzycki był słuchaczem drugiego roku uniwersytetu — zaprosił go do siebie na wakacye daleki krewny — administrator wielkiego majątku ziemskiego. Krzycki pojechał, bo chciał pokrzepić trochę swoje zdrowie, nadszarpnięte nerwowem, nieregularnem życiem miejskiem. Z początku nie wiedział, co robić ze sobą na wsi. Jako zepsute dziecko miasta nie gustował nigdy zbytnio w wiejskich sportach i przyjemnościach. Nie polował, ryb łowić nie lubił — nie przepadał za konną jazdą — zajęcia wiejskie nie interesowały go.

Z nudów szukał więc towarzystwa, no i oczywiście jakiej ładnej twarzyczki.

Wkrótce zapoznał się z kierownikiem szkoły w tej wsi — Staszyńskim, który miał dwie ładne córki.

Starsza, wesoła, trzpiotowata Stasia, zniechęciła Krzyckiego prędko swoimi kaprysami i kokieteryą. Zwrócił uwagę na młodszą...

Było to prawie dziecko jeszcze, podlotek, tchnący świeżością tych łąk i lasów, po których Hanka lubiła hasać na wzór dziewcząt wiejskich boso...

Krzycki traktował dziewczynkę z początku jako dziecko — ale wytrawny, mimo swej młodości, zjadacz serc niewieścich spostrzegł wkrótce, że w tem dziecku przedwcześnie zbudził kobietę...

Można było powiedzieć o niej słowami Słowackiego, że „płonęła, sama nie wiedząc, że płonie".

Krzyckiego z początku bawiło to tylko, potem zaczęło interesować — wreszcie pociągnęło ku dziewczynce z jakąś żywiołową siłą uczucia.

Krzycki przeżył to lato pod urokiem rusałczanych oczu Hanki.

— Haniu! Haniu! Ty rzuciłaś czar na mnie! — mówił jej nieraz.

A ona patrzyła mu w twarz z nieukrywanym zachwytem — z miłością bezmierną i śmiała się długo, głośno, radośnie.

Dni mijały im jak sen, jak piękny, letni sen, dyszący wonią rozkwitłych lip i poszumem dojrzewających zbóż...

I były dalekie spacery — i wieczorne przejażdżki łódką — i zbieranie purpurowych maków i modrych chabrów, które Hanka garściami rzucała na głowę i piersi Janowi — podobna do jakiejś kwietnej boginki, a trochę do wiejskiej dziewczyny, rozkochanej w kwiatach i słonku. Wspólnie czytano Słowackiego i Tetmajera. Gdzieś w omroczy leśnej, w skwarze letniego popołudnia płynęły upojne słowa:

„Mów do mnie jeszcze — ludzie nas nie słyszą,
Słowa twe dziwnie poją i kołyszą..."

A potem były ciche rozmowy, płomienne wyznania i długie, gorące pocałunki.

Hanka z całą potęgą uczucia, zbudzonego po raz pierwszy w duszy czystej, naiwnej a gorącej, pokochała Jasia i miłość swoją złożyła mu w ofierze z ufnością dziecinną, bez zastrzeżeń...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z podróży namiestnika Dillera.

Nowy namiestnik Galicyi, generał-major baron Diller, który okazał tyle zrozumienia potrzeb ludności na poprzedniem stanowisku generał-gubernatora w Królestwie Polskiem, z całą energią i życzliwością rozpoczął urzędowanie na nowym posterunku. Ażeby poznać kraj i potrzeby dotkniętej ciężko wojną ludności, namiestnik Diller odbył już szereg podróży, bawił kilkakrotnie w Krakowie, a odwiedził również stolicę kraju, Lwów, dokąd przybył we czwartek, 4. bieżącego miesiąca. O godzinie 7. przed gmach namiestnictwa zajechał automobil, z którego wysiadł gen. bar. Diller w towarzystwie rotmistrza hr. Schaffgotscha, oraz osobistego adjutanta por. bar. Turkovic-Kuljewsky. Jednocześnie przyjechał z Białej radca dworu Schultis.

W namiestnictwie spotkał bar. Dillera rad. dw. A. Zoll. Podróż z Krakowa odbył namiestnik częściowo automobilem, przez Krakowiec i Janów, oglądając zniszczenie wojenne, oraz stan gospodarski dźwigającej się z ruin połaci ziemi.

W piątek rano o godzinie 9 30 rozpoczęły się w gmachu namiestnictwa audencye. Najpierw przedstawiali się bawiący we Lwowie urzędnicy polityczni, których prowadził radca Schultis, a dalej inne władze, korporacye, stowarzyszenia i banki. Z kolei prezentowała się wojskowość, prezydyum „Czerwonego Krzyża“, eksc. Piniński, komisarz cywilny II. armii Fedorowicz i wielu innych.

Namiestnik odjechał ze Lwowa, obiecując często przybywać do stolicy kraju.



Z podróży namiestnika Dillera: Jen. bar. Diller (X) we Lwowie przy stoliku z odznakami Czerwonego Krzyża. (Fot. M. Münz, Lwów)





Kramy w ul. Skałecznej w dniu św. Stanisława **Z życia krakowskiego:** Oblężenie trafiki na Kazimierzu.



Z podróży namiestnika Dillera: Jen. bar. Diller we Lwowie. Obok siedzi komendant miasta jen. Riml. (Fot. M. Münz, Lwów).

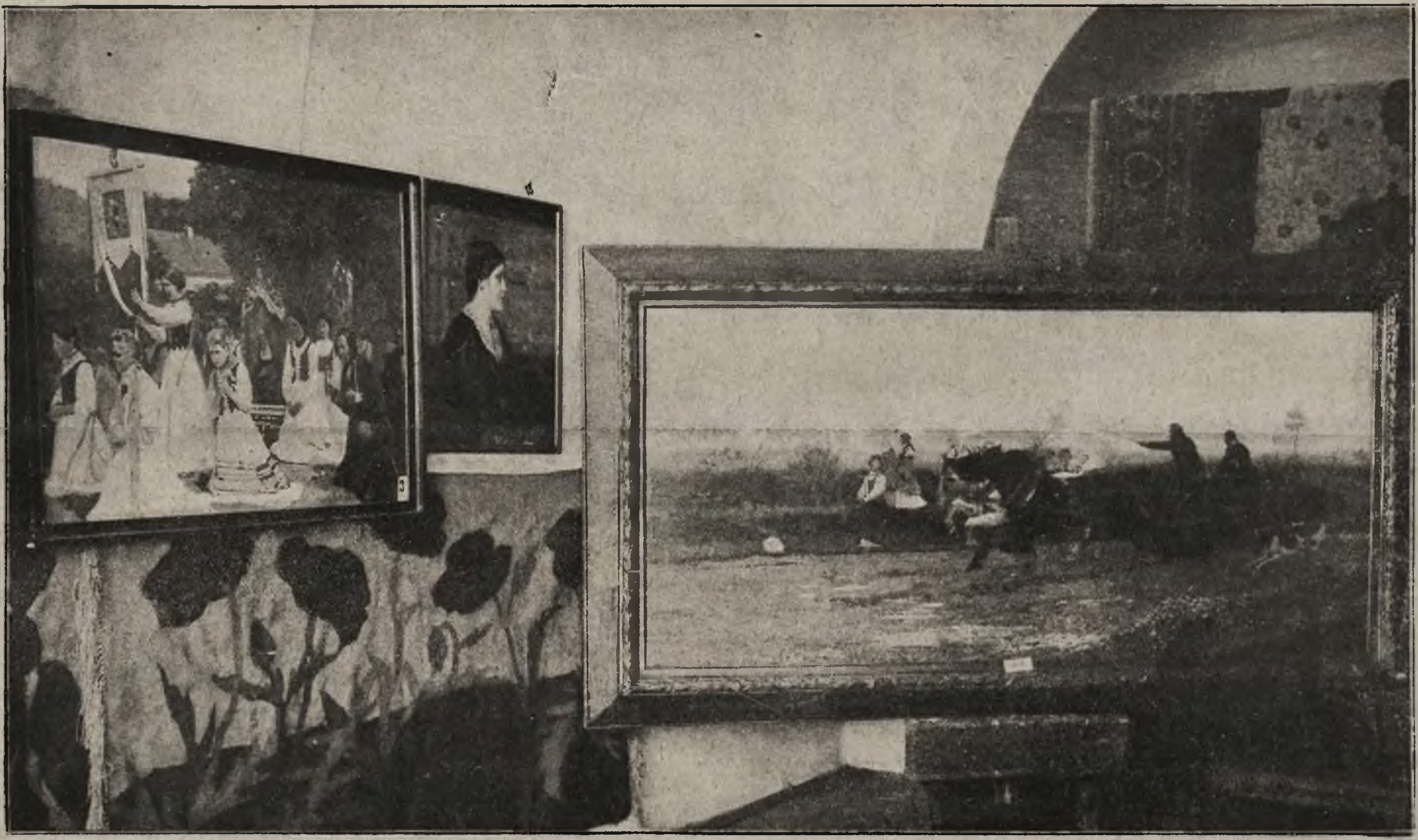
Wystawa obrazów Antoniego Piotrowskiego.

Jeden z wybitniejszych polskich malarzy, znany batalista Antoni Piotrowski, który przez czas dłuższy bawił poza granicami kraju, przypomniał się obecnie Krakowowi swym cennym i obfitym dorobkiem artystycznym, urządzając wystawę swych prac. Wystawa, która zajmuje dwie obszerne sale, jest bardzo interesującą zarówno ze względu na wartość artystyczną obrazów i treść ich ideową, jak i wielką różnorodność pomysłów.

Na pierwszy plan wysuwa się wspaniała kompozycya p. t. „Powietrze, głód, ogień i wojna“. Symboliczny ten obraz, o dużych walorach artystycznych, daje w jednej połowie motyw fantastyczny, lot Erinii wojennych, niecących mord i pożogę, w drugiej zaś części pełen siły motyw batalistyczny: pobojowisko współczesne, na którem leżą obok siebie w uśpieniu śmiertelnem żołnierze walczących armij, oraz towarzysząca im sanitaryuszka. Obraz to pełen siły i artystycznego polotu.

Z innych obrazów należy wymienić: „Błogosławieństwo“, pełen nastroju pejzaż jesienny ze stawem, po którym pływają łabędzie i cały szereg innych prac pejzażowych.

Aktualność chwili i sentyment narodowy reprezentuje cykl ślicznie wykonanych akwarel, mających za temat sceny z życia Legionistów. Również bogato przedstawia się dział portretowy, z którego należy przedewszystkiem wymienić dwa dzieła: portret Jana Zawiejskiego i panny Bujwidówny, obydwa kwalifikujące Piotrowskiego, jako urodzonego portrecistę. Wystawy dopełnia bogaty cykl akwa-



Wystawa obrazów Antoniego Piotrowskiego: Fragment wystawy.

rel, szkiców i doskonałych reprodukcyj z dawniejszych obrazów Piotrowskiego, dający dobre pojęcie o wszechstronności i bujności talentu jednego z najświetniejszych artystów ze szkoły Matejkowskiej i monachijskiej.

Wystawa, z której połowa dochodu przeznaczoną jest na K. B. K., cieszyć się powinna znacznem powodzeniem.

Z pobytu arcyksięcia Franciszka Salwatora w Galicyi.

W drodze ze Lwowa do Krakowa zatrzymał się arcyksiążę Franciszek Salwator w Rzeszowie, celem



Z pobytu arcyksięcia Franciszka Salwatora w Galicyi: Arcyksiążę Franciszek Salwator (X) w szpitalu Czerwonego Krzyża w Rzeszowie 1) Książę Paweł Sapieha, prezydent gal. Stow. Czerwonego Krzyża, 2) hr. Rudolf Traun, prezyd. Związku Stow. Czerwonego Krzyża monarchii, 3) dyr. szpitala Czerwonego Krzyża w Rzeszowie, dr. Jan Opolski.



Echa świąt na froncie: Grupa z festynu Wielkanocnego Czwartaków.

zwiedzenia tamtejszego szpitala „Czerwonego Krzyża“. Rycina nasza przedstawia chwilę, w której dostojny gość rozmawia z członkami zarządu szpitalnego.

Szpital „Czerwonego Krzyża“ w Rzeszowie, utworzony z wiosną ubiegłego roku w skromnych rozmiarach, został następnie powiększony do ilości 200 łóżek i mieści się obecnie w dwu budynkach, t. j. w internacie fundacyi imienia Towarnickiego i gmachu „Sokoła“. Na czele szpitala stoi doświadczony lekarz dr. Jan Opolski. Pod jego energicznem kierownictwem rozwija się szpital jak najlepiej.

Akcyą „Czerwonego Krzyża“ w powiecie rzeszowskim kieruje starosta Leszczyński.

Echa świąt na froncie.

Z różnych miejscowości olbrzymiego frontu, na którym walczą nasi żołnierze, otrzymujemy teraz fotografie i listy, z których dowiadujemy się, że i na froncie, wśród huku armat, obchodzono uroczyście święta Wielkanocne. W dzisiejszym nume



Wystawa obrazów Antoniego Piotrowskiego: Fragment wystawy z obrazem p. t. „Powietrze, Głód, Ogień i Wojna“ (Nr. 1).



Echa świąt na froncie: Nabożeństwo w kapliczce „dzieci lwowskich“ na pozycyi.

rze zamieszczamy fotografię, przedstawiającą żołnierzy baterYi „lwowskich dzieci“ na nabożeństwie w polu. Wraz z fotografią otrzymaliśmy opis tej uroczystości, w którym między innemi czytamy:

„Na wschodnim froncie, w okolicy porównywanej do nadreńskich widoków, powstała nowa, na stoku wysokiego, a następnie przez kamieniste podłoże lasem pokrytego brzegu, szeroka droga. Wycięcie tej po głazach i wśród skał pnącej się do góry drogi — to dzieło naszych żołnierzy. Przy tej oto drodze, tuż pod wierzchołkiem wzgórza, niedaleko stanowisk baterYi „lwowskich dzieci“, powstała w wolnych chwilach ich ręką zbudowana z brzozowego drzewa, a blachą kryta kapliczka, do której wejście prowadzi po kilkunastu stopniach.

W drugim dniu Wielkiejnocy stanęły u stóp pagórka przed kaplicą oddziały żołnierzy z komendantem i oficerami, bo maleńka świątynia wszystkich objąć nie mogła.

Wyszła msza. Na ołtarzu, przed obliczem Matki Zbawiciela, ozdobionym pierwszymi darami wiosny, świeżymi kwiatami leśnymi, płoną świece woskowe. Wszystko wkoło ubrane w bukiety i wianki. Płynęły ciche modły z dusz żołnierzy Polaków, którzy, oddawna pełniąc ciężką służbę, z utęsknieniem oczekiwali tej podniosłej chwili.

Na uboczu, przed wejściem do kaplicy, umieszczono w skale kamienną tablicę z napisem: „Kto na Bogu polega, szybko celu dobiega“.

Tak minęły święta „lwowskich dzieci“ na froncie...

Jak obchodzono Wielkanoc na froncie Legionów przedstawiły dokładnie zamieszczone w poprzednim numerze fotografie ze świąt wśród Czwartaków. Po uroczystych nabożeństwach przy pięknym Grobie Chrystusa, wykonanym przez Legionistów, odbył się także wesoły festyn. Zdjęcia z tego festynu uzupełniamy w dzisiejszym numerze grupą Czwartaków. Jaki nastrój panował na tej wojennej zabawie, opisuje to barwnie chorąży Teslar, który pisze między innemi:

„Nadzwyczaj miłe chwile spędzili komendanci kompanii ze swymi żołnierzami, którzy się tak do nich serdecznie przywiązali! Pomyśleli oficerowie i o zabawie ludowo żołnierskiej. Oto urządzono staraniem oficerów komendy (dr. Bobrowski, ks. kapelan Pełdyak), batalionu II. (kap. Sikorski), a głównie I. (por. Więckowski i niestrudzony aranżer zabaw, chor. de Laveaux) zabawę, będącą kombinacyą festynu, Emausu i Rękawki! Był tu bowiem i słup wysoki, na który się chłopaki spinali z powodzeniem po szynki, słup pochyły z kiełbasą dla zwycięzcy, kiełbaski na drutach do zrywania w skoku, rozrzucano jaja, pomarańcze i cukierki, muzyka przygrywała, był też bufet z przekąskami i piwem. Tryumfem jednak pomysłowości żołnierskiej było ukazanie się dwu kobiet, wdzięczących się z powodzeniem do rozweselonych żołnierzy, których ten rzadki, a tutaj niebywały nigdy widok przyprawiał o homeryczny wprost humor. Każdego przybysza zdaleka łudzono i detonowano, prowadząc go do — rzekomych delegatek Ligi Kobiet. Niejeden też w pierwszej chwili zapinał bluzę i poprawiał na sobie ubranie, co wywoływało salwy śmiechu. Wesele było tak zaraźliwe, że nawet surowy ks. kapelan z gracyą obwożony był w powozie w otoczeniu niewiast — ku ogólnemu zadowoleniu, a dr. Bobrowski, lekarz pułkowy, mający dar towarzyskiego udzielania się, humoru tak wiele i werwy, ile swobody w obejściu, przechadzał się z damami wśród tego czwartackiego rautu“.





W oczekiwaniu na węgiel przed gminą izraelicką. **Z życia krakowskiego**: Przed składem tytoniu i cygar.



Z życia krakowskiego: Odpust na Skałce w dniu św. Stanisława.

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

1

Dzień był marcowy, zimny i pochmurny. Ostry, dokuczliwy wiatr pędził tumany śniegu przez ulice miasta, na których już mdłem światłem migotały latarnie gazowe, wstrząsane silniejszym podmuchem.

Tak, jak to bywało codziennie, około godziny czwartej po południu, Jérome Versigny, znany w Paryżu bankier, ukazał się w wejściu, prowadzącem do biur swoich. Biura te zajmowały trzy piętra olbrzymiej kamienicy, mieszczącej się przy ulicy Pillet-Well.

Przechodząc koło loży woźnego, starego, wysłużonego żołnierza, odpowiedział lekkiem skinieniem głowy na jego wojskowy ukłon i machinalnym ruchem poprawiając monokl udał się na schody.

Bankier Versigny był to człowiek już starszy o długim siwiejącym wąsie. Ubrany był w szerokie futro, którego kołnierz w tej chwili podniesiony był wysoko. W jednej ręce trzymał czarną laskę ze srebrną główką, w drugiej zaś duży portfel z czerwonej skóry.

W przedpokoju drugi woźny, Edward, urzędowy i poważny, rezydował za stołem, pokrytym suknem zielonem; zajęty był porządkowaniem ogromnego stosu papierów i tak był przejęty tą czynnością, że nie zauważył wejścia bankiera. Spostrzegł go dopiero, kiedy Versigny, przeszedłszy szybko obok niego, znajdował się już w pośrodku sali. Zerwał się pospiesznie, lecz bankier ruchem ręki powstrzymał go i nie wyrzekłszy słowa, skierował się do swojego gabinetu.

W chwilę później dzwonek telefoniczny zawezwał woźnego do aparatu. Bankier Versigny ze swojego gabinetu wydawał rozkazy.

— Proszę pod żadnym pozorem mnie nie niepokoić. Nie mogę obecnie przyjmować nikogo, ani interesantów, ani nikogo z urzędników, nawet pana Delong. Muszę pracować, zawiadomię was, kiedy będę wolny. Zrozumiano?

— Tak, proszę pana — odpowiedział woźny. — Ale może pan życzy sobie przejrzeć listy i telegramy?

— Nie. Proszę zachować je, aż zażądam.

— Dobrze, proszę pana.

Woźny już miał zawiesić słuchawkę, kiedy jeszcze dobiegł go głos bankiera.

— Gdyby mnie wzywano do telefonu, trzeba powiedzieć, że niema mnie w biurze. Zrozumiane?

— Tak, proszę pana — powtórzył woźny, przyzwyczajony od lat do surowej karności, bo bankier Versigny, chociaż łagodny był dla służby i wyrozumiały, wymagał zawsze bezwzględnego posłuszeństwa.

Woźny powrócił do swojego zajęcia, zauważywszy tylko, że jego pan był znowu przeciążony pracą i że musiał być przeziębiony, gdyż głos jego w aparacie był jak gdyby zmieniony i zachrypnięty.

W godzinach następnych woźny miał niemało czynności. Przyjął i odprawił kilkunastu klientów, pomiędzy którymi był i emerytowany minister, trzech posłów, pani starsza, przychodząca z kwestą na rzecz niewiadomej sprawy, kilku urzędników, wkońcu pan Delong, prawa ręka bankiera, który zdziwił się bardzo, odebrawszy zlecenie woźnego.

Kilkakrotnie również zadźwięczał dzwonek telefonu i woźny wszystkim, proszącym o rozmowę, niezmiennie odpowiadał, że pana Versigny niema w biurze.

Poczciwy człowiek nie miał nawet czasu przejrzeć „Wiadomości z wyścigów“, którymi interesował się silnie i musiał odłożyć tę przyjemność do godzin wieczornych.

Nareszcie prywatny telefon bankiera, dochodzący z jego gabinetu, zawezwał go do rozmowy.

— Proszę przywołać do mnie pana Bullot — brzmiał rozkaz — ale zaraz go przyprowadzić! Czekam!

Pan Bullot był starym ekspedyentem, bezsilnym już i schorzałym, ale Versigny dotąd nie spensyonował go jeszcze, oceniając jego bystrość oryentacyi i zdolności fachowe.

— Coś jest nowego — myślał woźny, idąc główną galeryą do biur kasowych, gdzie urzędował stary Bullot. — Szef już dawno nie konferował z tym starym gratem. Pomyślał również, że niepotrzebnie fatyguje się, gdyż bankier mógł zawezwać urzędnika przez telefon. Poszedł jednakże i wkrótce powrócił, prowadząc pod rękę ledwie posuwającego się staruszka, bardzo zdziwionego tem nagłem zawezwaniem.

— Co on może chcieć odemnie? Ciekawy jestem, co on może chcieć? — powtarzał pan Bullot, trzęsąc głową.

— Zaraz się pan o tem przekona! — odpowiedział woźny, popychając go lekko ku drzwiom dyrekcyjnego pokoju, które otworzył szeroko, przepuszczając starego i następnie starannie zamknął za nim.

Upłynął czas jakiś. Woźny był jeszcze zmuszony odprawić parę osób i zaczął się niecierpliwić przedłużoną rozmową bankiera ze starym urzędnikiem. Było w tem coś nienormalnego.

Nagle, lekkie skrzypnięcie podłogi wyrwało go z tych rozmyślań. Przez uchylone drzwi od gabinetu dojrzał czerwoną, spoconą twarz pana Bullot.

— Panie Edwardzie! Panie Edwardzie! — pytał stary — Czy tam niema pryncypała?

Woźny doznał wstrząśnienia.

— Jakże może tu być — odpowiedział — kiedy w gabinecie swoim miał oczekiwać na pana! Cóż pan robił przez cały ten czas?

— A cóżby? Czekałem cierpliwie. Myślałem, że pan Versigny zajęty był w którémś z biur. Spodziewałem się co chwila, że nadejdzie — szeptał z coraz większym przestrachem staruszek. — W końcu pomyślałem, że źle zrozumiałem życzenie pana pryncypała i chciałem się zapytać pana, panie Edwardzie.

Ale woźny, grzecznym ruchem odsuwając pana Bullot od drzwi, już wbiegł do gabinetu.

— — — — — — — — — — — — — —

Był to obszerny, jasny pokój, skromnie umeblowany. Na ścianach zwieszały się ciężkie dywany. Na błyszczącej podłodze stały gdzieniegdzie porozrzucane głębokie amerykańskie fotele i mahoniowe półki pokryte papierami. W pośrodku duże biurko ze szklanym blatem, na którem znajdowała się lampa elektryczna, dwa aparaty telefoniczne, maszyna do pisania, wielki kalendarz, bloki do zapisków i teczka.

Za biurkiem wznosiła się kasa ogniotrwała.

Woźny, który na chwilę przypuszczał, że wiadomość otrzymana jest wynikiem chwilowego osłabienia mózgowego chorego staruszka, skonstatował teraz ze zdumieniem, że bankier Versigny nie znajdował się w gabinecie.

— Rzeczywiście! Niema go tu — szepnął po chwili milczenia.

Szybko poszukał spojrzeniem futra, kapelusza i laski ze srebrną gałką, ale i tych nie odnalazł.

— Może pryncypał wyszedł w czasie, kiedy pobiegłem po pana — rzekł zwracając się do pana Bullot. Poinformuję się u portyera.

Woźny, który miał tę czynność powierzoną, mógł doskonale z loży swojej oszklonej widzieć przechodzących przez halę wejściową. Oświadczył też, że przed dwudziestoma minutami bankier przechodził tędy, dążąc na ulicę.

— To ciekawe! To jednak ciekawe! — mruczał woźny Edward, powracając do przedpokoju, podczas kiedy stary Bullot dreptając za nim, powtarzał w kółko:

— Pryncypał mnie zawezwał i wyszedł nagle... Pryncypał mnie zawezwał i wyszedł nagle...

Woźny jednak trochę zaniepokojony poszedł uprzedzić o zdarzeniu pana Delong. Tenże okazał niemniejsze zdziwienie.

— Myślałem, że może pryncypał wstąpił do pana przed wyjściem — dodał woźny.

— Nie widziałem go dziś jeszcze — brzmiała odpowiedź — i nie rozumiem tego zamknięcia się w gabinecie, skoro mieliśmy dziś właśnie kilka ważnych spraw do załatwienia. Proszę mnie uwiadomić, jak tylko pan Versigny powróci.

— — — — — — — — — — — — — —

W chwili zamknięcia biur o godzinie szóstej wieczorem, bankier Versigny jeszcze się nie pojawił. Podobny wypadek zdarzył się po raz pierwszy, odkąd prowadził dom bankowy przy ulicy Pillet-Vill.

Pan Delong i woźny Edward pozostali ostatni. Przed odejściem zatelefonowali do prywatnego mieszkania bankiera w alejach Lasku Bulońskiego. Odpowiedział im służący, że pan Versigny wyszedł zaraz po śniadaniu i jak zazwyczaj powrócić miał dopiero w godzinie obiadowej.

— Pozostaje nam tylko jedna rzecz — zaopiniował pan Delong, rozłączając się z woźnym na ulicy — czekać do jutra.

— A jeżeli stało się coś niedobrego z panem pryncypałem? — odważył się powiedzieć woźny.

— To w każdym razie nic nie zyskamy na czekaniu o tej porze w biurze — odpowiedział pan Delong. — Zresztą skąd takie przypuszczenia. Pan Versigny widocznie był zmuszony wydalić się z biura i wieczorem powróci do swojego biura. My zaś, jak powtarzam, musimy czekać do jutra.

Mówiąc to pan Delong oddalił się.

Słowa te jednak nie uspokoiły woźnego. Nieprzyjemne, niepokojące wrażenie wzrastało w nim, wywołując przeczucie jakiejś katastrofy.

Nie mogąc jednak nic temu przeciwdziałać, udał się na dworzec świętego Łazarza, zkąd odjechał do Colombes, gdzie stale zamieszkiwał wraz z żoną, dzielną kobietą trudniącą się kwieciarstwem.

Choć od lat wielu żył z nią w idealnej zgodzie i spokoju, tego wieczoru, zdenerwowany i niespokojny, ciągle szukał sposobności do sprzeczki, w końcu nie tknąwszy prawie obiadu, udał się na spoczynek.

Nazajutrz tak, jak to czynił codziennie, odjechał pierwszym pociągiem do Paryża. Usiadł w rogu wagonu, nie chcąc brać udziału w rozmowach współtowarzyszów i zatopił się w czytaniu ulubionego dziennika „Petit Parisien“. Ale nagle drgnął tak silnie, że o mało dziennika nie wypuścił z ręki. Na drugiej stronicy bowiem dojrzał napis zredagowany tłustym drukiem, do którego instynktownie przylgnął oczami: „Tajemnicze morderstwo w hotelu na ulicy Heldez“.

Zaczął czytać, a litery skakały mu przed jego spojrzeniem, jak szalone. Z trudem zdołał się opanować i zrozumieć treść czytanego artykułu:

„W hotelu, na ulicy Heldez, odkryto wieczorem zwłoki podróżnego, który przybył tam w godzinach porannych. Został zamordowany uderzeniem sztyletu w plecy. Akt zbrodni, według wszelkiego prawdopodobieństwa, miał miejsce po południu. Podróżny ów został zapisany w książkach hotelowych pod nazwiskiem pana Conventry. Był niskiego wzrostu i dobrej tuszy“.

Doczytawszy do tego miejsca, woźny odetchnął z ulgą. Lecz oddech ten był tak nienaturalny i głęboki, że zwrócił uwagę sąsiadów, którzy zwrócili się zaniepokojeni.

— To nic! — uspokoił ich woźny, wycierając chustką spocone czoło — Miewam od czasu do czasu silne duszności.

I w duchu zaczął sobie czynić wyrzuty za nurtujące go złe przeczucia od dnia wczorajszego. — Przecież był tak naiwny, że powodując się nic nieznaczącym faktem opuszczenie biura przez swojego szefa — mógł przypuszczać przez chwilę, że tym zamordowanym człowiekiem był właśnie pan Versigny!

Uspokojony już czytał dalsze wiersze zakończające artykuł. Podróżny w ciągu dnia przyjmował jakiegoś nieznajomego. Opis tego ostatniego: obszerne futro o podniesionym kołnierzu, laska ze srebrną gałką, duża teczka ze skóry czerwonej pod pachą.

Tego już było za wiele na wytrącone z równowagi nerwy biednego woźnego. Zbladł gwałtownie i zanim mógł ktoś z obecnych przyjść mu z pomocą, usunął się zemdlony na ławeczkę wagonu.

Zbrodnia przy ulicy Heldez.

Do hotelu „Princelet“ przy ulicy Heldez zgłosił się był w rannej godzinie niejaki pan Conventry, który oznajmił, że przybywa z Brukseli i wybrał sobie dwa pokoje: salonik i sypialnię. Hotel „Princelet“ cieszył się zawsze dotąd jak najlepszą opinią. — Budynek sam, czysty i jasny, budził od pierwszego wejrzenia zaufanie. Uczęszczany był najwięcej przez kupców angielskich, niemieckich i belgijskich i przez poważne rodziny przybywające z prowincyi.

Nowy gość, pan Conventry, był nizki i barczysty i zdradzał flegmatyczne usposobienie. Ubrany był dosyć wytwornie i starannie. Spojrzenie jego, biegnące z pod krzaczastych brwi, uderzało przenikliwością, szeroki, kwadratowy podbródek maskował się dosyć dobrze pod gęstą, czarną brodą. Zaraz na wstępie oznajmił służbie hotelowej, iż zamierza na krótki tylko czas zatrzymać się w Paryżu, powołany gdzieindziej pilnymi interesami. Miał ze sobą tylko niewielką ręczną walizkę i uiścił z góry zapłatę za pokoje, czego zresztą od niego nie żądano wcale.

W zachowaniu się jego służba hotelowa nie zauważyła nic nadzwyczajnego. Przebrawszy się naprędce, zaraz po przyjeździe wyszedł na miasto jeszcze przed śniadaniem. — Powrócił po południu i przechodząc obok loży portyera, oznajmił mu, że oczekuje odwiedzin i prosił, aby zaprowadzono bezzwłocznie do jego pokoju osobę, która się o niego pytać będzie.

Osoba ta przybyła wkrótce i zabawiła zaledwie pół godziny u pana Conventry.

Wieczorem, tego samego dnia, panna służąca, Bretonka, prosta dziewczyna, zapukała do mieszka-

nia pana Conventry, a nie otrzymawszy odpowiedzi, weszła w celu przygotowania łóżka na noc. Oświetliła salonik, nie zauważywszy nic szczególnego i przeszła do sypialnego pokoju, gdzie również odkręciła lampkę elektryczną.

Tu spostrzegła pana Conventry, siedzącego na fotelu przed małem biurkiem przy oknie. Wsparty był korpusem o biurko. Ponieważ nie poruszył się wcale na jej wejście, sądziła, że zasnął zmęczony podróżą i miała się już dyskretnie wycofać, kiedy spostrzegła nagle rozpościerającą się u stóp śpiącego, na dywanie, wielką, ciemną plamę. Przybliżyła się zaintrygowana i kiedy spojrzała dokładniej — odskoczyła w tył śmiertelnie przerażona. Duża kałuża krwi znaczyła dywan! Sciekała ona jeszcze z pleców pana Conventry, gdzie otwierała się czerniejąca już rana. Pan Conventry nie dawał już zresztą najmniejszego znaku życia; musiał zakończyć życie w tej samej, siedzącej pozycyi, w jakiej został napadnięty.

Oszalała z przestrachu dziewczyna, wybiegła z pokoju na schody, wołając na cały głos ratunku. W jednej chwili cały hotel został poruszony tym wypadkiem. Ktoś pobiegł natychmiast uwiadomić o zbrodni komisarza najbliższego biura policyjnego. Zawezwany równocześnie lekarz skonstatował już śmierć tylko. Silne uderzenie sztyletem w plecy dotknęło serce i spowodowało krwotok wewnętrzny.

W godzinę później, znany mieszkańcom Paryża, popielaty automobil, o czterech siedzeniach, stanął na ulicy Heldez przed hotelem „Princelet". Wysiadł z niego szef biura policyjnego, pan Cambaux.

Był to mały, żywy człowieczek o czerwonej, jowialnej twarzy z dużymi, białymi wąsami odkrywającymi usta, na których spoczywał wiecznie uśmiech dyplomatyczny. Z poza złotego cwikiera błyszczały ciekawe, biegające oczy.

Przystąpił natychmiast do prowizorycznego śledztwa, posługując się pewnym szablonem, chętnie przez niego przyjętym.

W ten sposób, jeszcze przed badaniem miejsca zbrodni, dowiedział się o okolicznościach, towarzyszących przyjazdowi pana Conventry do hotelu. Szczególny nacisk kładł na godzinę wyjścia i powrotu ofiary, jak też na zachowanie się jego podczas krótkiego przebywania w mieszkaniu.

Nikt ze służby hotelowej nie znał pana Conventry. Widziano go tu po raz pierwszy. Zamienił zaledwie słów kilka, wyrazając się poprawnym, miejscowym językiem. Właściciel hotelu twierdził, że zauważył u niego lekki akcent bretoński i dodał, że należał do ludzi, którzy lubią, aby ich rozkazy wypełniane były szybko i bez zarzutu. Zdawało mu się również, że za powrotem swoim popołudniu nie mógł należycie opanować zdenerwowania, które się objawiało ściąganiem brwi i krótkimi, gorączkowymi ruchami.

Cambaux zasięgnął także wiadomości o nieznajomym gościu, który odwiedził pana Conventry. Według opisu personalu hotelowego on był zabójcą.

Zebrawszy dokładny opis wyglądu owego człowieka, pan Combaux dowiedział się jeszcze od portyera dwóch charakterystycznych szczegółów o nieznajomym. Miał on pod pachą teczkę ze skóry czerwonej, a w prawej ręce laskę czarną o srebrnej główce. Otrzymanie tych szczegółów wywołało uśmiech zadowolenia na twarzy pana Cambaux. Ukończywszy to jednostronne śledztwo, szef policyi udał się na pierwsze piętro i wszedł do mieszkania zamieszkanego przez pana Conventry.

Przybliżył się do zwłok leżących na dywanie; rozpatrując drobiazgowo ranę, zauważył natychmiast, że musiała zostać zadana przez ostrze wązkie i płaskie. Lekarz potwierdził to spostrzeżenie.

Następnie przystąpił do obejrzenia walizy, nie zawierającej papierów żadnych, tylko parę sztuk bielizny i drobne przybory tualetowe — wszystko znaczone cyfrą: A. G. Waliza nie posiadała dna podwójnego ani żadnych odznak nadzwyczajnych.

Pan Cambaux powrócił raz jeszcze do zwłok. Obejrzał kieszenie ubrania i skonstatował brak portfelu. Jednakże dwa grube, złote pierścienie z brylantami pozostały na palcach zamordowanego, a w kieszeni kamizelki zegarek z inicyałami A. G.

W końcu, systematycznie pooglądał podszewkę kamizelki i surduta i nareszcie w kieszonce jednej znalazł przymocowany skrawek płótna z napisem: „Sir Archibald Graves — Londyn. 1912". Twarz urzędnika rozjaśniła się uśmiechem zadowolenia. Ukrył jednak wzruszenie swoje przed otoczeniem i wyjąwszy zegarek zmarłego, udał zajęcie silne jego konstrukcyą. W międzyczasie myśl jego pracowała ciężko.

Nazwisko, które przeczytał i które należało do jednego z największych finansistów angielskich „sławnego króla Trustu dyamentowego", wywołało w nim niemałe zdumienie. I teraz, kiedy ciągle nieznacznie jeszcze badał spojrzeniem tę twarz martwą, przypomniał sobie, że już kilkakrotnie miał sposobność spotkać ją w Londynie.

I od chwili stwierdzenia, kim był ten zamordowany człowiek, sprawa cała, do której nie przykładał wielkiej wagi, uważając ją za banalną, urosła w umyśle jego do rozmiarów wielkiej ważności.

W wypadkach takich, Cambaux nie polegał zazwyczaj na własnej przenikliwości i sądzie, tylko przybierał do pomocy przyjaciela swego Oktawiusza Bernac.

Cały Paryż pamięta jeszcze dotąd literata Oktawiusza Bernac, głośnego ze sprawy kryminalnej, której ofiarą padła młoda i zdolna artystka Clarysa Vitry, zamordowana w garderobie swojej w czasie przedstawienia. Autorem premiery był właśnie Bernac. Zajął się natychmiast tak gorliwie prowadzeniem śledztwa, że zasłynął wkrótce jako jeden z najdzielniejszych detektywów-amatorów.

Po ukończeniu sprawy Clarysy Vitry i wykryciu zabójcy, Bernac poświęcił się dalej karyerze policyjnej, zyskując sobie uznanie szefa dyrekcyi policyi i sędziów przysięgłych, którzy często odtąd korzystali z jego usług i zdolności.

Przeczucie jakieś, lub może intuicya pewna ostrzegły i teraz pana Cambaux, że dziś więcej niż kiedykolwiek zwrócić się powinien do niego o radę i pomoc.

Obmyśliwszy w duchu tę konieczność, zwrócił się do otoczenia z temi słowami, chcąc zyskać na czasie i porozumieć się przed decydującą chwilą z Bernaciem.

— Moi panowie, godzina jest już późna. Pozostawię tu kilku ajentów i odejdę, gdyż dzisiaj nie mam tu nic więcej do czynienia. Jutro rano formalne śledztwo, złożone z sędziów i urzędników policyjnych, skonstatuje fakt dokonany. Ja zaś idę teraz natychmiast uwiadomić prokuratora, aby kazał poczynić odpowiednie kroki.

Mówiąc to, pan Cambaux myślał, że przedewszystkiem naglącym bilecikiem zawezwie do siebie przyjaciela.

Bernac.

Nazajutrz o wczesnej jeszcze bardzo godzinie zjawił się na miejscu wypadku sędzia Vornus, osobistość surowa i poważna, w celu przeprowadzenia raz jeszcze ścisłego śledztwa. Poczem po powtórnych oględzinach zwłok, przewieziono je do sali prosektoryum sądowego.

Tymczasem Cambaux niecierpliwił się silnie nieobecnością Bernaca i pragnął gorąco opóźnić tę formalność, aż do jego przybycia. Ale wobec pana Vornus, urzędnika pełnego najskrupulatniejszej formalistyki, nie chciał się zdradzić z tem pragnieniem.

Zaledwie jednak urzędnicy opuścili hotel „Princelet", kiedy w bramie hotelowej pojawił się wysoki mężczyzna, o sympatycznej, wygolonej twarzy i niebieskich oczach, uderzających jasnością i wyrazem i stanął uśmiechając się przed panem Cambaux, przeglądającym jakieś papiery.

Cambaux uścisnął serdecznie jego rękę.

— Przybyłeś nareszcie! — rzekł z zadowoleniem.

— Pospieszyłem się nawet bardzo — odparł wesoło Bernac. — Byłem wczoraj na polowaniu i zaledwie przed chwilą powróciłem do siebie, gdzie znalazłem twoje wezwanie. Przebrałem się tylko i odświeżyłem i przybywam.

— Poznaję w tem twoją zwykłą ofiarność służenia naszym sprawom.

— Nie widzę w tem zainteresowaniu żadnej zasługi dla siebie. Zresztą od sprawy kradzieży w banku włoskim nie pracowałam na tem polu z tobą i przyznaję, że lękałem się jakiegoś zapomnienia z twojej strony. Bilecik twój napełnił mnie radością. Czem mogę ci służyć?

W kilku słowach pan Cambaux wtajemniczył przyjaciela w sprawę odkrytego morderstwa.

Literat słuchał z wielką uwagą i spokojem, lecz na dźwięk nazwiska Archibalda Graves poruszył się żywo:

— Do dyabła! — zawołał — Król dyamentowy! To nielada osobistość. Widzę w zabójstwie jego dosyć ciężkie kombinacye.

— Nieprawdaż? — podjął pan Cambaux — Było to również moje pierwsze wrażenie — dodał z pewną dumą zawodową i powrócił do swojego opowiadania.

Kiedy doszedł do opisu zewnętrznego mniemanego mordercy, Bernac drgnął zdumiony.

— Czy ten opis naprowadza cię na jakie domysły? — zapytał ciekawie Cambaux, zauważywszy ruch przyjaciela.

— Być może — szepnął Bernac zamyślony. — Ale mów dalej, proszę. Słucham cię z największą uwagą.

— Wiem, że lubisz przybyć z działaniem swojem na teren całkiem nowy — rzekł Cambaux, ukończywszy opowiadanie swoje. — Dlatego też, jak tylko spostrzegłem, że nie chodzi tu o zwykłą banalną zbrodnię i kiedy odkryłem identyczność zamordowanego, pospieszyłem cię zawezwać i wstrzymałem się z wydaniem osobistych przypuszczeń. Tylko zrozumiesz mnie, mój drogi, że nie było w mojej mocy wstrzymać urzędowego śledztwa sędziego i zapobiedz odwiezieniu zwłok do Morgi.

— To wszystko jest bez znaczenia! — odpowiedział z roztargnieniem Bernac.

Pan Cambaux, znając dobrze swojego przyjaciela, nie wątpił ani na chwilę, że tenże przeżuwa już w mózgu jakąś myśl ważną, uderzony może pewnymi szczegółami opowiadania. Zamieniwszy jeszcze słów parę, Bernac poprosił towarzysza, aby zawezwał raz jeszcze służbę hotelową z portyerem na czele i kiedy ci zjawili się w mieszkaniu, zajmowanem przez pana Conventry, w badaniu ich kładł nacisk szczególny na osobistość nieznajomego gościa z teczką ze skóry czerwonej. Widocznem było, że na tej osobie skoncentrowała się cała jego uwaga i ciekawość.

Należy dodać, że Bernac szczególnie pogłębiał psychologiczną stronę sztuki policyjnej i w sprawach tego rodzaju kierował się najwięcej spostrzeżeniami, pochwyconemi w tej dziedzinie.

W drobiazgowy więc sposób badając portyera, starał się usilnie poruszyć pamięć jego i dokładność uczynionych obserwacyi, co doprowadziło go do pochwycenia jeszcze jednego charakterystycznego rysu nieznajomego. Człowiek ten nosił monokl, przytwierdzony do klapy surduta dosyć grubym czarnym sznurkiem.

— Właśnie mi o to tylko chodziło — szepnął Bernac, odebrawszy to zeznanie — „On" również nosi monokl z grubym czarnym sznurkiem.

Odprawiwszy służbę, zamierzał już opuścić mieszkanie, kiedy wszedł jeden z ajentów, pozostawionych do strzeżenia hotelu, z oznajmieniem, że szofer Bernaca, Antoni, pragnie z nim mówić natychmiast.

Bernac pociągnął więc przyjaciela i zbiegł szybko ze schodów.

Na dole koło loży portyera oczekiwał szofer, typ sprytnego i wesołego ulicznika paryskiego.

— Co tam nowego, chłopcze? — zapytał Bernac.

— Proszę pana zaszła rzecz taka — odpowiedział żywo zapytany. — Przed chwilą powróciłem z maszyną do domu, tak, jak mi to pan rozkazał uczynić i zajęty byłem naprawianiem popsutej latarni, kiedy zbiegł do mnie na podwórze August i powiedział, że dwóch panów pragnie natychmiast widzieć się z panem. August, nie wiedząc, co z nimi zrobić, zapytał mnie o radę, co ma im odpowiedzieć. Poszedłem za nim do mieszkania obejrzeć tych panów. Jeden był wysoki z siwą brodą, dosyć pokaźnego wyglądu, drugi mały z dużym brzuchem. Jeden z nich przedstawił się jako sekretarz banku Versigny, drugi jako woźny.

— Ach! — szepnął Bernac. — Czy jesteś pewny, mój przyjacielu, że się nie mylisz?

— Nie, proszę pana. To są panowie z banku Versigny. Chcą z panem mówić w sprawie zbrodni, dokonanej w tym hotelu. A że wiedziałem, że pan jest w dobrych stosunkach z bankierem Versigny, pomyślałem, że ci panowie mogą udzielić jakichś interesujących wiadomości. Umieściłem więc tych panów w naszej maszynie i przywiozłem ich tutaj.

— Doskonale zrobiłeś! Gdzież oni są!

— Przed hotelem. Kazałem im tam czekać na wszelki wypadek, nie wiedząc, czy pan zechce z nimi mówić.

— Bardzo dobrze, mój chłopcze! Jestem z ciebie zupełnie zadowolony — rzekł Bernac, uśmiechając się. — W naszym fachu ostrożność nigdy nie zawadzi. Poproś teraz tych panów tutaj. Pragnę rzeczywiście rozmówić się z nimi.

W dwie minuty później do saloniku, gdzie zamieszkał był sir Archibald Graves, pan Delong wchodził w towarzystwie woźnego, Edwarda.

Rodzina Versigny.

Jérome Versigny, syn skromnego lekarza z Lilles, rozpoczął swoją karyerę finansową od posady pisarza w biurze pewnego banku.

Ambitny był i pracowity, z myślą ciągle zwróconą na przyszłość swoją. Wkrótce też dorobił się poważnego stanowiska w świecie finansowym, gdzie wykazał wszystkie swoje zdolności, urabiając sobie opinię jak najlepszą. Przy silnem pragnieniu dorobienia się jak największego majątku, umiał być w razie potrzeby wspaniałomyślnym i szczerze wyrozumiałym dla drugich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z życia krakowskiego.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do wojny. Objaw ten możemy zaobserwować obecnie, po dwudziestu miesiącach największych w dziejach zapasów światowych. Poza frontem, wewnątrz państw, wszystko idzie swoim trybem, choć naturalnie nie tak sprawnie, jak w czasach zwykłych, pokojowych, ludzie pracują a nawet bawią się — tak samo, jak i dawniej... Nie straciły również na barwności tradycyjne uroczystości w Krakowie w dniu św. Stanisława. Tłumy pospieszyły na Skałkę, a rojno było i gwarno wśród rozstawionych kramów w ulicy Skałecznej... Kraków i w czasie największej wojny — złożył hołd tradycyi...



Z Teatru Ludowego: Helena Zahorska w roli Kaśki Karyatydy i Gromiwoi

Ale choć wojna w prastarym grodzie podwawelskim najmniej może poczyniła szczerb, nie znaczy to wcale, aby i tutaj nie położyła swej ciężkiej dłoni na całem życiu... Odczuwa ją każdy, wprawdzie nie bezpośrednio, ale zato bardzo dotkliwie, bo własnym żołądkiem... Można powiedzieć, że i tu, choć tak daleko od linii bojowej, liczna armia, gromadząca się przed sklepami to tu, to tam, musi staczać formalną walkę o najpotrzebniejsze do życia produkty... „Ogonki“ przed sklepami spożywczymi stały się już zwykłą dekoracyą miasta... W ostatnich czasach ten teren walk rozszerzył się i na inne dziedziny, mianowicie na tytoń, papierosy i cygara... Dla palaczy, którzy prędzej obejdą się bez jedzenia, niż bez palenia, nastały ciężkie czasy... Swiadczą o tem wymownie cierpliwe tłumy, oblegające godzinami trafiki i składy tytoniu...

Z Teatru Ludowego.

Trzeba przyznać, że druga scena miejska w Krakowie potrafiła w tych ciężkich czasach nie tylko przezwyciężyć wszelkie trudności, ale zdobyć sobie pełny sukces — wszechstronnem pojęciem swych zadań. Obok dzieł repertuaru poważnego i komedyowego, wystawionych z całym pietyzmem, Teatr Ludowy pokusił się o stworzenie operetki, a próba ta, tak trudna ze względu na środki i ramy drugiej sceny, wypadła nadspodziewanie dobrze zarówno co do wystawy, jak i wykonania.

Z ostatnich nowości na scenie Teatru Ludowego należy tu przedewszystkiem wspomnieć o „Damie dworu“ Trotta. Satyryczna ta komedya ma jeden niezaprzeczony wdzięk. Obywa się bez zdrad w miłości, które stały się już przenudną karmą komedyową. Bezpretensyonalnie opowiada dzieje karyery damy dworu, którą przypadkiem jest młoda, wesoła baronówna, jeżdżąca, jak huzar, konno, a która ma nie tylko złote serce, ale także humor i zawadyactwo rozbrajające.

Sztuka podobała się publiczności. Główna zasługa w tem Heleny Zahorskiej, która grała tytułową rolę. Młoda artystka, której debiut w Teatrze Ludowym w „Kaśce Karyatydzie“ i następnie debiut w „Gromiwoi“ w Teatrze Miejskim zwrócił baczną uwagę poważnej krytyki na ten pięknie zapowiadający się i obdarzony świetnymi warunkami talent, zrobiła, jako „dama dworu“, prawdziwą niespodziankę publiczności i krytyce. Wniosła ze sobą na scenę nie tylko młodość powabną i ujmujący wdzięk, ale, co najważniejsza, temperament sceniczny i humor szczery, który jest najrzadszym talentem teatralnym. Również w grze p. Zahorskiej widoczne było poczucie gry charakterystycznej, co pozwoliło jej stworzyć doskonałą aktorską kreacyę.

Również wybornie grał cały zespół. Należą się słowa pełnego uznania pp. Urbanowicz, Helleńskiemu,



Z Teatru Ludowego: Sceny z „Gejszy“ (pp. Minowicz, Mierzejewski i Pietroń).

Grolickiemu, dalej pp. Biesiadeckiemu, Koreckiemu, paniom Gajewskiej, Kolman, Zukowskiej i Horowiczowej za doskonałe przeprowadzenie i odegranie powierzonych im ról.

Z pośród wystawionych dotychczas w Teatrze Ludowym operetek zdobyła wyjątkowe powodzenie „Gejsza“. A że Kraków może mieć własną doskonałą operetkę, najlepszym dowodem są przedstawienia „Ptasznika z Tyrolu“ i „Gejszy“. Ta ostatnia operetka, dzięki pp. Krajewskiej i Palczewskiej, oraz pp. Mierzejewskiemu, Biesiadeckiemu i Minowiczowi, wypadła znakomicie. Zarówno chóry i orkiestra pod batutą energicznego kapelmistrza, p. Grünberga, jak również reżyserya i piękna wystawa zasługują ze wszech miar na pochwałę.



Obrazki wojenne: Chorzy i ranni Polacy oraz personal sanitarny w szpitalu wojskowym w Bernie.

Kronika tygodniowa.

Dzięki ostatniej kronice, w której powtórzyłem tylko wywody pana Eugeniusza Brieux w sprawie walki obu płci, brzydkiej i nadobnej, jaka ma się rozpętać po wojnie, choć od siebie prawie nic nie dodałem, ściągnąłem przecież na swą łysą głowę tyle z różnych stron piorunów, iż obecnie musiałem na wierzchu mego parasola umieścić gromochron. Gniewają się na mnie naturalnie damy, które wywnioskowały, że jestem ich zaciętym wrogiem, stoję im na zdradzie, radbym je w łyżce wody utopić i t. d. Od dwu dni odbieram ciągle mniej lub więcej grzeczne bezsteniny, nie palę jednak listów, owszem, chowam je bardzo skrzętnie, by później wydać je, o ile naturalnie znajdzie się nakładca. W tej kwestyi zwracałem się nawet i do Akademii Umiejętności, otrzymałem jednak odpowiedź, iż na razie na podobne wydawnictwo brak monety, gdyż cały zapas gotówkowy obrócono na opublikowanie wielkiego a niezawodnego „Sennika egipsko chaldejskiego“ — wraz z wskazówkami, jak grać w loteryę, aby wygrać. Wyjdzie w kilkudziesięciu tomach z illustracyami i przedmową jednego z współczesnych filozofów, któremu się już nieraz śniło, a potem sen się sprawdzał.

Czekam więc cierpliwie, wiedząc, że co się odwlecze, to nie uciecze, zwłaszcza, że owe listy są w najściślejszym związku z enuncyacyami francuskiego akademika (ale nie tego z „Cnotliwej Zuzanny“), więc kolegi po palmach naszych nieśmiertelnych.

Zanim się to jednak stanie, pozwolę sobie tymczasem, aby odwrócić burzę od swej łysiny, bodaj częściowo się wytłumaczyć, iż tak źle nie myślałem, jak owe gniewające się na mnie panie sądzą. Głównie rozchodzi im się o to, jak śmiałem wyrazić się w ten sposób, iż „praca kobiety nie jest tak wydatną, jak mężczyzny“, oraz że „nie przejmuje się ona tak swym zawodem, jak on“.

Lubię grać w otwarte karty, zaraz więc powiem, na czem oparłem swe twierdzenia. Więc nóżki na stół, jak powiada pewien znajomy mój, mandaryn chiński, u którego swojego czasu gościłem w Pekinie, gdzie nabawiłem sie kataru żołądkowego i nie patrzę teraz nawet na żaby, ślimaki i inne smakołyki chińskiej kuchni.

Przedewszystkiem więc zdarzyło mi się raz, że gdy przyszedłem do pewnej instytucyi, w której urzędują i niewiasty, stanąłem koło okienka i czekam. Pani urzędniczka już miała się zabrać do mnie, gdy tymczasem od sąsiedniego biurka wstała jej koleżanka, podeszła do niej i rzecze:

— Wiesz Zośka! Widziałam wczoraj Mańkę!

— Nie może być!... A ja jej nie widziałam już z rok. Myślałam, że może wyjechała!

— Nie ruszyła się z miasta. Wychodzi za mąż za jakiegoś profesora. Powiadam ci, jaki miała wspaniały kapelusz...

I jak nie zaczną sobie opowiadać o tym kapeluszu! A ja, wiedząc o tem, że niewiasta choruje, jeśli się w porządku nie wygada, stoję i czekam, jako iż jestem z natury bardzo cierpliwy. Ale wreszcie i mnie się sprzykrzyło, pukam więc do okienka, najpierw lekko, a gdy to nie odnosi skutku, coraz silniej.

Wreszcie z furyą otwiera się okienko i głosik, przypominający ś. p. nieboszczkę Ksantypę w jej najpiękniejszych latach, pyta:

— Czego?

Ta zwięzłość i dobitność bardzo mi się spodobała, równie więc krótko odpowiadam, co mnie tutaj przywiodło.

Wysłuchała, zaczęła załatwiać, w toku jednak pracy przerywa i, zwracając się do jednej z koleżanek, mówi:

— Hela! Czy tobie tak gorąco jak i mnie? Zdaje mi się, jakbym siedziała na rozpalonych węglach. Boże!... Żeby już raz zamknąć to biuro i iść na planty...

— Jeszcze dwie godziny! — odpowiada z bolesnem westchnieniem zagadnięta.

I znów na ten temat rozwija się rozmowa, a ja czekam... Wreszcie znów pukam.

— Proszę pani! — rzekę, siląc się na głos jak najgrzeczniejszy — Ja nie mam czasu, spieszy mi się do domu, bo żona czeka z obiadem, a ona bardzo nie lubi, gdy się spóźnię...

— Impertynent! — mruknęła — A mnie co to obchodzi?!... Widzi pan, że nie siedzę z założonemi rękami, lecz jestem zajęta urzędowaniem. W urzędzie musi się pan przyzwoicie zachowywać. Proszę!...

Załatwiła wreszcie, potem trzasnęła mi znów okienkiem na pożegnanie, ja się ukłoniłem i odszedłem, żałując bardzo, że to nie był mężczyzna, byłbym się bowiem należycie z nim wykłócił, że w urzędzie tak się stron nie traktuje. Ale tu sprawa z babami, trzeba cicho siedzieć, nużby która z irytacyi dostała mdłości, trzebaby ją cucić, a potem zaskarży jeszcze o obrazę urzędnika w urzędowaniu.

Albo drugi podobny przykład.

W innem biurze, w którem także niewiast jest od pewnego czasu całe zatrzęsienie, bo to każdy pan radca postarał się już o to, by tu ulokować wszystkie swe kuzynki, zgłasza się strona (rodzaju męskiego) i tak samo, jak ja, czeka, bo panienka urzędująca trzyma wprawdzie w ręce pióro i chce spisać protokół, nie może jednak trafić do kałamarza, tak zapatrzyła się w czarne oczy siedzącego naprzeciw niej urzędnika bruneta.

— Panno Lolu! — odzywa się wreszcie głos od drugiego biurka — Gdzie akt numer 375?

— Musi być u pana na biurku, bo u mnie go nie ma! Sama go panu do rąk oddałam. Pamiętam doskonale! — odpowiada.

— Nie może być! Przerzuciłem wszystkie szpargały... Niechno pani jeszcze raz poszuka, to się znajdzie!

— Jak mamę kocham, niema go u mnie!

— Niech pani szuka!... Proszę podać mi dziennik, zaraz się przekonamy...

Oglądają, pokazuje się, że pozycya numer 375 opuszczona, aktu więc być nie może... A to kłopot!... Jak to wygląda!...

Dzięki pomocy dwu panów urzędników w trzy kwadranse błąd naprawiono, panienka, choć była zdenerwowana niepowodzeniem, załatwiła się wreszcie ze stroną czekającą, ale, czy się znowu nie pomyliła, tego nie wiem, a więc i nie powiem.

A może i trzecim służyć przykładem? Zaręczam, że wszystkie wzięte są z życia, a za prawdziwość każdego mogę ręczyć.

Do pewnej istytucyi i to rządowej, przychodzi pan i to do tego oficer i ma akurat to szczęście, że panienka, u której ma sprawę załatwić, pije właśnie herbatę. Jako grzeczny chłopak czeka więc, aż się biesiada skończy, ale, nie mogąc się doczekać, robi bardzo grzeczną uwagę, że mu się spieszy, otrzymuje jednak tylko lakoniczną odpowiedź:

— Widzi pan, że piję herbatę!..

Nie odrzekł nic, źle zaś zrobił, gdyż ja, będąc na jego miejscu, byłbym powiedział:

— Życzę paniusi smacznego, jestem przecież zdania, że karmienie powinno się odbywać nie w czasie, przeznaczonym dla stron. Ostatecznie można posilić słabe ciałko, ale w tym czasie niech panią kochaną zastąpi druga koleżanka, lub kolega, boć podobno urząd jest dla stron, nie strony dla urzędu. (Nos i tabakiera).

Gdyby nie to, że boję się znudzić Czytelników, a zirytować jeszcze bardziej Czytelniczki, które teraz odsądzą mnie już zupełnie od czci i wiary, podałbym jeszcze cały szereg podobnych przykładów, świadczących o wydatności urzędniczej pracy kobiet i przejęciu się ich swym zawodem. Wspomnę tylko, że zdarzyło się n. p., iż pewna panienka, która miała nawet maturę gimnazyalną, a zajęta była pisaniem adresów w jednej z administracyi krakowskich dzienników, napisała całkiem wyraźnie „proboszcz cłowy“ zamiast „poborca cłowy“. Gazeta doszła do adresata, trzeba go potem było przepraszać, gdyż był przekonany, że ktoś sobie z niego stroi niesmaczne figle.

Czytałem także takie rzeczy, jak napis: Ulica Zygmunta Augusta Krasińskiego, ulica księdza Józefa Poniatowskiego, dowiedziałem się, że w Krakowie istnieje godność: „właściciel magistratu“ itd.

A wszystkie te dziwolągi wyszły z pod pięknych rączek, któremi nie kierowało wówczas to, co nazywamy mózgiem, a co powinno się mieć w głowie. Jestem pewny, że żaden mężczyzna na coś podobnego nawet by się nie zdobył, gdyby zaś rzeczywiście się tak stało, otrzymawszy od szefa besztanie, siedziałby cicho, przyznając się do winy, gdy tymczasem płeć słaba w tym wypadku zaczyna ronić łzy i mówi:

— Przecież można się pomylić!...

A na kogóż nie mają wpływu łzy i to do tego kapiące z pięknych oczek?...

Na tem więc koniec. Zamykam dyskusyę i obiecuję do niej nigdy już nie powrócić, a przynajmniej nie tak prędko, na pociechę zaś pań urzędniczek dodam, że i w życiu domowem, do którego niewiasta jest stworzoną, dzieją się czasem cudy, o jakich nawet filozofom się nie śniło. Wszak znaną jest historya o tej gosposi, co to przed upieczeniem zająca kazała go oskubać, lub też o owej, co to nie mogła się doczekać, kiedy jajko ugotuje się wreszcie na miękko.

Wszystko razem zebrane dowodzi więc jasno, jak na dłoni, że płeć tak zwana słaba, albo piękna, bardzo często nie kieruje się tem, co nazywamy rozumem, a potem się gniewa, gdy się z niej śmiejemy. Są wyjątki, boć przecież niema reguły bez wyjątku, tak, jak nie można powiedzieć, że wszyscy mężczyźni są mądrzy. Znajdują się i między nimi okazy, godne, by po najdłuższem życiu umieścić je w jakiem panopticum. Ale mężczyzna, który do ich szeregu się zalicza, zazwyczaj wie o tem i bodaj stara się udawać mądrego.

Ulżyło mi się po tej odpowiedzi panu Brieux, żałuję tylko bardzo, że on tego prawdopodobnie się nigdy nie dowie, gdyż, jak się przekonałem z aktów naszej administracyi, prenumeratorem naszym nie jest. Na wszelki wypadek posłałem mu ten numer *Nowości illustrowanych* z prośbą, by sobie kazał kronikę na język francuski przetłumaczyć, a treść jej przyjąć do wiadomości, różnimy się bowiem nieco w zapatrywaniach, czyli, że on z innej, a ja z innej platformy zapatrujemy się na ową walkę dwu płci, której jeszcze niema, ale niedługo już będzie. Nie jest też wykluczonem, że obaj możemy jeszcze zmienić swe oryentacye, bo i to się zdarza nie tylko wielkim statystom i politykom, ale i takim, jak my, myślicielom.

Ze zaś wojna owa o kęs chleba rozpętać się może już niedługo, wnoszę to z tego, iż, według zapewnienia największych politycznych kapacitetów, zmaganie się mocarstw europejskich musi się już rychło skończyć, choćby nawet król Nykita zamianował sobie jeszcze ze dwu ministrów wojny (czy im jednak płaci pensyę?... przypisek zecera, który też nieco zna się na polityce). Ze strony Ameryki także nam już nic nie grozi, pokazało się bowiem, że pan Wilson nie chce sobie psuć miodowych miesięcy, ma zresztą na karku innego czyraka, który się nazywa wojną z Meksykiem.

I myślę, że nikt nie miałby nic przeciw temu, gdyby tak wojna przeniosła się teraz do Ameryki, wówczas bowiem i Anglia i Japonia nie omieszkałyby zmaczać tam swych rączek, a wtenczas my zachowalibyśmy tak zwaną ścisłą neutralność wobec stron wojujących, to jest dostarczalibyśmy im amunicyi i tym podobnych rzeczy, a w ten sposób wróciłyby do Europy te pieniążki, które tam popłynęły.

Czy się jednak tak stanie, jak miałbym ochotę, tego nie wiem, za niespełnienie się więc mojej przepowiedni żadnej odpowiedzialności na siebie przyjąć nie mogę. Pozostanę i nadal neutralnym.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła Wisia Kostańska z Bochni

Gdyby nie *pierwsza-trzecia*,
Sam tem jestem zdziwiony,
Czemby się dopełniały
Nasze dzielne Legiony,
By podążyć nad *drugą*
I tam bronić Ojczyzny,
Choćby się krwią czerwienić
I oberwać choć blizny.
Bo, że wolność zyskamy,
Ja dziś święcie w to wierzę,
Więc nie będę narzekać,
Tak, jak *całość* w Homerze

Trójkąt magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2. Nieprzyjaciel żydów. 3 Jenerał polski z r. 1831 4 Dawna polska prowincya. 5. Imię męskie 6 Prorok. 7. Tłuszcz 8 Ciecz 9 Ryba. 10. Przysłówek 11. Samogłoska.

Łamigłówka literacka.

Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Znaleźć nazwiska autorów wyszczególnionych niżej dzieł. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego poety.

Kazania sejmowe?
Polska w pieśni?
Barbara Radziwiłłówna?
Świątynia Sybilli?
Kiejstut?
Wernyhora?
Irydyon?
Ojcze nasz?

Grzebieniówka.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy poda nam dwa imiona jednego z władców europejskich.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Gatunek sukna. 2. Konstelacya. 3 Drogi kamień. 4 Ptak. 5. Zawód 6 Motyl. 7. Ptak. 8. Naczynie

Przysłowiówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć, idąc cztery razy z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich nowe przysłowie.

1) Kto z Bogiem, Bóg z nim.
2) Kto się lubi, ten się czubi.
3) Kto nie gra, nie traci.
4) Kto milczy, ten przyzwala.
5) Kto wiatr sieje, burzę zbiera.
6) Kto pyta, nie błądzi
7) Kto łże, ten wisi
8) Kto wysoko mierzy, nizko trafia.
9) Kto nic nie waży, nic nie osiągnie.
10) Kto smarnje, ten jedzie
11) Kto chce wygrać gąsiora, musi ważyć kaczora.

Grzebieniówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu, pierwszy rząd poziomy utworzy imię i nazwisko współczesnego polskiego literata.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Zboże 2. Narzędzie. 3. Mowca grecki. 4. Zwierzę przeżuwające. 5. Jarzyna. 6 Wyraz geometryczny.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Dziś pop rzędzi. Czek i guma u indyka duje. S.

Bilety wizytowe.

Ułożył Szczerbiec z Wawelu

Z liter na biletach ułożyć nazwy miejscowości, znanych z walk na froncie wschodnim i zachodnim.

CZEŚKO UIC

D NOBU

Y KOŁA

D. U. TAMOUNO.

T POLARNO

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości“ na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 19.

Łamigłówka:

Sen
Ems
sak
kur
osa
kra
sęk
ski
San
iwa
Oka
cap

Trójkąt magiczny:

T a d e u s z R u t o w s k i
a r c y b i s k u p s t w o
d o ś w i a d c z e n i e
e w e n t u a l n o ś ć
u l t r a m a r y n a
S a n d o m i e r z
z i m o r o d e k
r e l i k w i e
U k r a i n a
T e m i d a
O c e a n
w a l c
s k i
k u
i

Zadanie do przestawienia: Nie pchaj palców między drzwi.

Grzebieniówka:

L u c y a n R y d e l
e h g e a e
g r r z k m
w z e e t i
a a s d y n
n n t a l g

Przysłowiówka: Nie pomogą tam doktory, gdzie kto na śmierć chory.

Zadanie do przestawienia: Kochanie płakanie, a ślub grób

Okienko:

J a f e t
a r o
f r a n k
e n i
t o k i o

Zagadka: Gdy się zaziębisz, trapi cię *katar*.
Gdybyś żył dawniej, wziąłby cię *Tatar*.

Homonym: Adam.

Bilety wizytowe: Dragoman poselstwa. Biskup sufragan. Konsul generalny. Generał gubernator. Marszałek nadworny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadniska Kraków, W. Krzywicki Praga, K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, Z. Szymanek Nowy Sącz, R Królicki Krościenko n. D, E. Łabuziński Feldpost 27.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **Z. Szymanek Nowy Sącz.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„Precz z wydatkami na niepotrzebne rzeczy“, napisał ks Józef Janiszewski, Hliboka na Bukowinie Odbitka z „Ludu katolickiego“. Nakładem Administracyi „Ludu katolickiego“. Z drukarni Józefa Pisza w Tarnowie 1916. Cena 6 halerzy. Do nabycia w księgarni K. Wojnara w Krakowie.

Autor wykazuje, że Polacy wydają rocznie miliard koron na rzeczy niepotrzebne, zbyteczne, a nawet szkodliwe, jak trunki, palenie, procesy, karty i loteryę, stroje, wyjazdy zagranicę, wystawne przyjęcia i t. p., zastanawiając się równocześnie, cobyśmy mogli mieć za taki zaoszczędzony kapitał. Dochodzi do wniosku, że wszystkie nasze potrzeby religijne, narodowe i społeczne przez jeden rok wstrzemięźliwości byłyby zaspokojone, nie mówiąc już o tem, ile za te pieniądze możnaby wykupić ziemi polskiej z rąk obcych

Broszura bardzo na czasie, warta uważnego przeczytania.

Kącik humorystyczny.

Właściwy powód.

— Cóż to? Zostałeś wegetaryaninem?!

— Ano tak! I to z tego powodu, że po pierwsze jeden z mych przyjaciół otworzył handel jarzynami, a po drugie, że żaden z rzeźników nie chce mi już dawać mięsa na kredyt!...

Dobry wykręt.

Mąż (wracając późno do domu): Hm... gdy się stara zapyta, gdziem bawił do tak późna, powiem całkiem otwarcie, żem odkrył biegun północny. Potrafię to również dobrze udowodnić, jak dr. Cook...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego